

Nr 4 (99)

CZASOPISMO LITERACKIE

2024



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 4 (99) 2024

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Gabriela Rodak, Magdalena Turska

Druk: SONAR Sp. z o.o.

ul. Kostrzyńska 89

66-400 Gorzów Wielkopolski

W numerze i na okładce znajdują się prace Bolesława Kowalskiego (1941-2001) – gorzowskiego artysty plastyka. Zdjęcia z kolekcji prywatnej Moniki Kowalskiej

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

OLŚNIENIA

To stan tyle zachwycający, co niebezpieczny.

Olśnienie (z fizjologicznego punktu widzenia) zabiera (na chwilę) zdolność widzenia – a to może być powodem zagubienia bądź upadku. Nie bacząc na to, zadzieram głowę, by ostre promienie na chwilę oślepiły, pozostawiając pod powiekami barwne powidoki.

/

Olśnienie (bardziej metaforycznie) to nagłe poznanie, uświadomienie sobie czegoś ważnego, zachwyty wywołany jakimś niezwykłym zjawiskiem. Nie bacząc na to, daję się porwać zachwytem większym, niż zdrowy rozsądek.

W jednym i drugim przypadku chodzi o ulotny moment szczerego i niespodziewanego zaskoczenia. Iluminacji!

Tej państwu życzę podczas lektury tego numeru „Pegaza”. Są tu teksty wprost piękne, są zadziorne, buntownicze i przewrotne. Są takie, które oślepią. I takie, dzięki którym łatwiej będzie zobaczyć. Zrozumieć. Na przykład – że (prawie) zawsze chodzi o miłość. Lub śmierć.

Odwagi!

*Wulkan olśniewa najlepiej
tych, których dotknie palcem lawy...
(Marcin Świetlicki, Słupsk 84)*

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna „Pegaza Lubuskiego”

OLŚNIENIE

Joanna Ziemińska-Kurek

1.

Przeczuwam, że chodzi tu
o miłość
[nie o uczucie – bo to nie jest uczucie
to potęga, która
z niczego – wszystko]

więc miłość
tej trzeba za wszelką cenę

a jej przeciwieństwa
nie dopuszczać za krąg
rysowany czystą kredą

pokusy są podstępne
przede wszystkim
odwracają kota ogonem
nawarstwiają kłamstwa

prawda jest prosta – więc
trudna

ale tylko tak
ocalejesz

tylko tak
ocalisz.

2.

Grzech
nie jest tym co robisz
ani myśl ani mowa
nie mają z nim nic wspólnego

to raczej
brak umiejętności
trzymania się pazurami
jak ostatniej deski ratunku miłości.

3.

Wybacz mi
bo zgrzeszyłam – zapomniałam

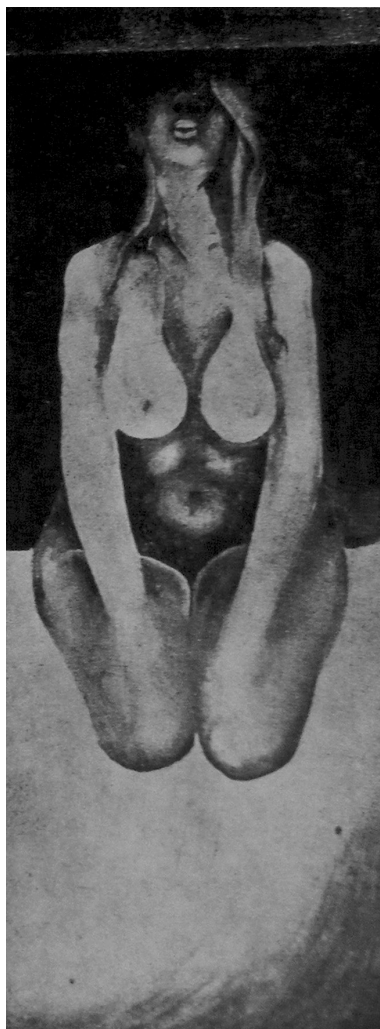
[nie to że wyleciało z głowy
zgubiłam przez nieuwagę
albo wypadło z pamięci]

zapomniałam ciężko bardzo ciężko
kim jestem i dlaczego

[jakby fundament
stał się dymem
bańką mydlaną –
co przecież niemożliwe]

teraz klęczę –
kolejny powrót

JOANNA ZIEMBIŃSKA-KUREK: doktor nauk humanistycznych, poetka, nauczycielka, regionalistka, członkini ZLP. Wydała kilka książek, m.in.: *Kobieta pisze wiersz* (1997), *Ślad na piasku* (2002), *Alchemia przestrzeni* (2004), *Odkrywanie miejsca – odkrywanie siebie, czyli banały i rewelacje* (2004), *Uroczysko* (2004), *Miejskie wiersze o przedmiotach* (2007). Od 2010 roku mieszka w stolicy Szwecji, gdzie uczy języka polskiego.



OLŚNIENIA

Hanna Bilińska-Stecyszyn

Olśnienie I

Pewnego dnia na początku sierpnia, kiedy w pracy trafił mu się wolny dzień, postanowił skorzystać z okazji i wybrać się na od dawna planowany kajakowy rejs po Lubiążu i wszystkich jego zatokach.

Właściwie pływanie kajakiem po jeziorach to nie była jego bajka. Podczas studiów wraz z kolegami z klubu sportowego zawsze żartowali, że wajchowanie wiosłem po stojącej wodzie to galery, zwłaszcza gdy płynie się pod wiatr. Kochał rzeki. Ich nurt, bliskość zielonych brzegów, ledwie na długość wiosła, a czasem wręcz na wyciągnięcie ręki. Rzeczne bystrza, gdy trzeba było uważać, by nie uszkodzić kajaka na ostrych kamieniach. Przezroczyste płycizny pełne maleńkich rybek widocznych na tle piaszczystego dna. Podwodne gąszcz moczarki i innych rzecznych roślin, w które czasem wplątywały się wiosła. Pełne zawirów głębin buchtowych zakoli. Zwalone drzewa do pokonania, meandry, ciągnące zmiany. Jezioro, wielka misa z połatdowanymi krawędziami, to więzień otaczających je lasów i pól. Nawet jeśli jest wielkie aż po horyzont, gdzieś tam zawsze się kończy. A rzeka jest wolna. Nawet najmniejsza strużka płynie, jak chce. Po swojemu wyznacza bieg i nigdy nie wiesz, czym zaskoczy cię za zakrętem, nawet jeśli płyniesz nią kolejny raz. (...)

Wyruszył po obiedzie. Minął małą wyspę, potem dużą, powiosłował w prawo, następnie przeciął ukosem spokojną toń, lekko tylko pomarszczoną falką na powierzchni, potem kolejny zakos i znowu bliskość brzegu, i znowu zakręt... Jedna za drugą wśród malowniczych, porośniętych lasami brzegów Lubiąża kryły się kolejne zatoki. Postanowił popłynąć aż do końca jeziora – tam, gdzie za gęstwiną trzciny i olch kryje się następne jezioro, Krzywe. I właśnie tam, w ostatniej z zatok, zauważył w oddali samotny kajak. Szczupła kobieca postać stała w nim pośrodku, zapewne dla utrzymania równowagi szeroko rozkładając ramiona. Jak ptak szykujący się do lotu. Z powodu odległości nie poznał, kim jest, lecz jakiś impuls nakazał mu powiosłować w tę stronę. Kobieta po chwili zgrabnie niczym nimfa zsunęła się do wody i zanurkowała. Kiedy się wynurzyła i zrobiła kilka wymachów, zauważył, jak wspaniale pływa. Niejeden mężczyzna nie potrafiłby tak zasuwać kraulem. Rozpryski wody nad jej głową sprawiły, że dopiero gdy podpłynął jeszcze bliżej, poznał, kim jest pływaczka.

– Dzień dobry – zawołał, nie rozumiejąc jeszcze w tym momencie, dlaczego tak bardzo ucieszył go jej widok. – Nie poznałem cię. Świetnie pływasz – dorzucił.

Podziękowała i kilkoma silnymi wymachami rąk podepchnęła kajak w stronę wąskiego przesmyku pośród trzciny, za którym znajdował się na brzegu splotek piasku. Więc i on tam powiostował.

– Mogę? – spytał na wszelki wypadek, też przeciągając swój kajak w stronę brzegu.

– Jasne.

Gdy po wyjściu z wody stanęła pośrodku słonecznej plamy i wycierała włosy ręcznikiem, zachwyciła go jej zgrabna, sprężysta sylwetka. Bez grama niepotrzebnego tłuszczu, doskonała niczym starożytny posąg nagiej Wenus. Z niewielkimi piersiami, których piękny kształt uwidaczniał się pod mokrym, obcistym stanikiem kostiumu kąpielowego.

Przysiadła na burcie wyciągniętego na brzeg kajaka, podparła się dłońmi, wysunęła przed siebie zgrabne nogi, w ten sposób starając się zachować równowagę. Ucieszył się, że nieśpieszno jej, by od płynąć z tego miejsca. Przykucnął obok. Poczł ohotę, by zapalić, ale jego kajak znajdował się w pewnym oddaleniu, a chciał być blisko dziewczyny.

– Świetnie pływasz – powtórzył z uznaniem. Serce w piersi przyśpieszyło, miał wrażenie, że dziewczyna zaraz usłyszy to bicie.

Niewygodnie mu tak było w kucki, więc po chwili się podniósł. Wskazała mu miejsce obok siebie. Lecz zdołał tam przysiąść ledwie na krótką chwilę. Kajak obciążony z jednej tylko strony przechylił się tak mocno, że oboje ze śmiechem wylądowali na ziemi. Śmiech umilkł w pół sekundy, gdy niespodziewanie objęła go za szyję i poczuł jej twarde sutki przy swoich piersiach. Bliskość dwóch prawie nagich ciał mogła się skończyć tylko w jeden sposób. Gorączkowym ściąganiem tych szmatek, które mieli na sobie, i szaleńczym, nieomal zwierzęcym aktem bez słów i nawet bez pocałunków. Potem dziewczyna podniosła się i pobiegła do jeziora. Zupłnie nie krępowała się nagością. Zanurkowała. Po powrocie na brzeg podniosła z ziemi swój kostium, wyptukała go i rozwiesiła w słońcu, na gałęzi olchy zwisającej tuż nad wodą. Zachowywała się tak, jakby była sama, choć musiała czuć na sobie wzrok Maćka. Też nagiego jak ona i gorączkowo zastanawiającego się, co powinien zrobić. Zaczął się ubierać czy dotknąć jej ciała.

Wreszcie położyła się obok niego na piasku. Przymknęła oczy. Nadal milczeli. Przyglądał się jej zafascynowany, znowu czując pożądanie. Żeby je stłumić, zyskać na czasie, podniósł się, zrobił krok w stronę swojego kajaka i zapalił wreszcie upragnionego papierosa.

– Nie lubię dymu – skrzywiła się.

Odszedł więc trochę dalej, w stronę przybrzeżnych trzciny. Udawał, że lustruje cztery sterzące z wody zmurszałe kołki, wyznaczające miejsce po jakimś starym pomoście. Malutka plaża najwyraźniej była kiedyś miejscem do wędkowania, lecz chyba od dawna żaden wędkarz tu nie zaglądał. Odwrócony do dziewczyny plecami, bo jednak trochę niezręcznie się czuł z golizną na wierzchu,

zaciągał się głęboko, wciąż zafascynowany rozkoszą, jakiej doznał przed paroma minutami. I wciąż nie potrafiąc się zdobyć na jakiś odważny krok. On, zdobywca tylu kobiet!

– Chodźmy popywać – usłyszał w końcu, więc odwrócił się.

Z pluskiem wbiegła do wody. Pobiegł za nią. Płynęli obok siebie nadzy, a kiedy zawrócili w stronę brzegu, już wiedział, co się stanie. Gdy pod stopami dał się wyczuć grunt, po paru krokach wziął dziewczynę na ręce. Wyniósł z wody i położył na piasku. Z miedzianozłotymi włosami i jasną skórą wyglądała jak Wenus z obrazu Sandra Botticellego, znowu nie potrafił się wyzbyć tych skojarzeń. Pocałował ją. Długo i namiętnie. Potem zaczął ustami błędzić po całym jej ciele... Tym razem kochali się nieśpiesznie, opóźniając moment finałowej rozkoszy. Jak gdyby w obawie, że w końcu trzeba będzie się podnieść z tego piasku, ubrać, i zostanie tylko wstyd.

★

Słońce chowało się za linią drzew, kreśląc czerwonawe smugi na niebie i tafla jeziora, gdy, nadal prawie się nie odzywając, spychali kajaki na wodę. I nagle niczym błyskawica przeszła go myśl, że właśnie ta dziewczyna mogłaby wraz z nim popłynąć w przyszłym roku na sptyw, który sobie wymarzył.

Wiosną obok niej, odblokował się wreszcie. Zrelacjonował pokrótce, jakie ma plany.

– To jest mój najważniejszy cel – dodał na koniec. – Żeby wrócić do tej pasji.

Zawstydził się, że tak egzaltowanie to zabrzmiało, szybko więc dokończył: – I zarazić nią innych.

„Ciebie też”, odpowiedział, ale jedynie w myślach.

Stuchwała w milczeniu, z uwagą. Kiedy skończył, wyraźnie już wyluzowana, dotychczasowe skrępowanie zastąpiła potokiem słów:

– Doskonały pomysł z tym kółkiem! Na pewno będzie sporo chętnych. Na AWF-ie trenowałam lekkoatletykę i siatkówkę, ale też mieliśmy trochę zajęć z pływania i kajakarstwa sportowego. Jednak na sptywie byłam tylko raz, jednodniowym, w ramach zaliczenia. Musi ci się udać! I fajnie, że o mnie pomyślałaś. – To ostatnie powiedziała dużo ciszej, plusk wody prawie zagłuszył jej słowa.

– Proszę? – Odłożył wiośło, zwrócił twarz w jej stronę, chcąc się upewnić, że dobrze usłyszał. Gasnące słońce ostatnim refleksem rozświetliło jej włosy, niemal poraziło go to piękno. Z pewnością dostrzegła zachwyt w jego oczach, zresztą wcale nie zamierzał się z nim kryć.

– Dziękuję, że o mnie pomyślałaś – powtórzyła głośno, a jej uśmiech wlatł w serce Macieja dodatkowe litry zachwyty. – Wybiorę się z tobą za rok. Obiecuję.

Olśnienie II

Bieg rzeki przypomina bieg ludzkiego życia. Od źródeł do ujścia. Woda jak noworodek wytryskuje z matki Ziemi, przeciska się wśród górskich kamieni, niczym maleństwo przychodzące na świat. Ledwie pełzając, rozpoczyna swoją wędrówkę. Stopniowo nabiera rozpędu. Metr za metrem, z coraz większą energią pokonuje konfliktujące się z jej nurtem głązy i zwały drzew. Czasem zmuszona jest wyrzeźbić sobie nowe koryto. Ale nigdy się nie poddaje. Żeby wreszcie u kresu swej wędrówki zwolnić, rozlać się leniwie i na finał wtulić w objęcia innej rzeki, morza, oceanu. Dać się wchłonąć i pozostać tam na wieczność. Zadanie wykonane, trud zakończony.

Te skojarzenia przychodziły mi do głowy na każdym spływie. Lecz jeszcze nigdy nie były tak wyraziste. Jego rzeka, bywało, wiodła przez grząskie bagna i ciemne moczary. Wreszcie dziś, niczym w czasach beztroskiej młodości, wy płynęła ku słońcu. Znowu toczy się lekko, jeszcze nieśpieszno jej do ujścia. Choć już zwolniła pęd, ma przed sobą piękny etap. Być może będzie to najpiękniejszy jej odcinek.

Gdy rano, po kilkuletniej przerwie, usiadł w kajaku o kokpicie zielonym jak nadzieja, gdy zanurzył wiosło i niemal bezszelestnie odgarnął nim strużkę wody, poczuł rozkosz wręcz fizyczną. Tak długo na to czekał. Tyle dni i nocy uciekał przed samym sobą!

Wreszcie oddycha pełną piersią. Jest tak pięknie, spokojnie. Łódka wolno, niemal bez szmeru posuwa się naprzód. Wokół krążą ciemnoszafirowe ważki. Woda jest złocistozielona, rozgrzana słońcem. Niczym ta z wiersza Tuwima. Na każdym spływie, kiedy w skwarny dzień trzeba było uciekać z kajakami ze śródka rzeki w dobrotliwy chłód przybrzeżnych drzew, dźwięczały mi w głowie zapamiętane ze szkolnych czasów tuwimowskie synestezje. *Zapach wody, zielony w cieniu, złoty w słońcu, w bezwietrzu sennym ledwo miesza się, kotysze...*

Wpływają właśnie w labirynt trzcini i przybrzeżnych tataraków, poprzerany raz po raz niewielkimi lusterkami wody. Nowicjuszowi mogłoby się wydawać, że to wciąż jezioro, jedna z jego trzcinastych zatok. Ale Maciej wiosłuje tędy nie po raz pierwszy.

– Popatrz – zwraca uwagę Anny – jak te rośliny pokazują, które będą płynąć.

Rzeczywiście podwodne kapelony, todygi grążeli, grzybienie i innych nieznanych jej roślin chylą się wszystkie w jedną stronę, wyznaczając nurt. To szlak Jeziornej, rzeczki wypływającej z jeziora Buszenko, jednego z dopływów Obry. Ciek meandruje wśród trzcini, lecz powoli rozszerza się. Oddalają się brzegi. Po obu stronach spływają ku strudze malowniczo zbcza gęsto porośnięte skupiskami wysokich olch i pojedynczych sosen.

Nieśpiesznie, z zachwytem rozglądając się wokół, pokonują Jeziorną. Trzcinaste meandry już za nimi, teraz płyną wśród nenufarów. Wiosna była zimna,

rośliny długo czekały na słońce. Mimo że zbliża się koniec lipca, białe korony grzybieni wciąż są w pełnym rozkwicie. Zieleń liści szerokim dywanem ścielących się na powierzchni wody już nie jest tak świeża, lecz wciąż nenufarowe tąki pełne wodnych lilii dają radość oczom i sercu.

Annę siedzącą z przodu kajaka dzieli od Macieja kilkadziesiąt centymetrów. Czasem kobieta spogląda w bok albo do tyłu, by sprawdzić, czy jej wiośło pokonuje wodę w tym samym tempie, co wiośło partnera. To jej nowa, dopiero od niespełna godziny nabyta umiętność. Jak na debiutantkę radzi sobie doskonale, a pełen uznania uśmiech Maćka dodaje jej pewności.

Fascynuje ją ten tajemniczy wodny świat, nigdy dotąd nieoglądany z tak bliska.

– A wiesz, że po raz pierwszy siedzę w kajaku? – pyta, odkładając na chwilę wiośło i odwracając się w stronę towarzysza.

– Niemożliwe. Ty, dziewczyna znad jeziora?

– Owszem, znad jeziora. Wraz z całą bandą dzieciaków się w nim taplałam, od wczesnej wiosny do jesieni. Chyba nie było wśród nas takiego, który nie umiałby pływać. Lecz kajaki... Jakoś tak. Nie złożyło się. Zresztą mnie co najwyżej było stać na rower wodny, a i to z rzadka.

– Aniu, coś ci powiem... – Głos Macieja jest poważny i jednocześnie pełen ciepłych nut. – Doskonale sobie przypominam jeden z tych rowerów. Był trochę uszkodzony i okropnie zgrzytał. Zgadza się?

– Zgadza! – Niby w głębi serca miała nadzieję na taką właśnie informację, a jednak z radości aż podnosi głos, płosząc kryjącą się w trzcinach kaczkę. (...)

Zbliżają się do końca nenufarowego etapu. Maciej informuje, że czeka ich pokonanie wąskiego przepustu pod drogą w miejscu, gdzie zaczyna się Zalew Bledzewski. Trzeba się przepchnąć z kajakiem na drugą stronę. Można oczywiście sprzęt przenieść górą, to zaledwie kilkanaście metrów. Tylko że wtedy nie byłoby przyjemności. A goście w postaci pająków czy innego robactwa, które podczas przeciskania się przez przepust mogą powpadać do kajaków, to naprawdę drobiazg. Ania i Bożenka nie należą do kobiet, które piszczą i wskakują na krzesło na widok pająka czy myszy. (...)

Przeptnięcie przepustu staje się dla kajakarzy wielką frajdą. Maciej ocenia, że poziom wody jest odpowiedni. Pokazuje, jak napłynąć, jak się złożyć w kajaku i bezpiecznie przedostać na drugą stronę. On i Anna pokonują przepust jako pierwsi (tylko dwa pająki i kilka suchych olchowych paprochów zabierają na pokład), potem sprawnie radzą sobie pozostali. Po kilkunastu minutach można płynąć dalej.

Aż szkoda, że niedługo przygoda się skończy. Zza zakoli zalewu wytania się budynek elektrowni. Po doptnięciu do zapory muszą przenieść kajaki spory kawałek poniżej tamy, na rzekę. Na szczęście są prawie puste i lekkie, a transport częściowo odbywa się ślizgiem po trawiastej ścieżce. Później zaliczają jeszcze

tylko dwa miejsca z drzewami zwalonymi na rzekę, nietrudne do pokonania, parę zakrętów, kilka zabudowań na brzegu i most w Bledzewie. Tuż za nim znajduje się wodna przystań, z parkingiem, wiatami i toaletą. Koniec trasy.

Olśnienia pochodzą z nowo wydanej powieści *Wystarczy pokochać*.

HANNA BILIŃSKA-STECYSZYN: Mieszka w Lubniewicach. Nauczycielka, literatka, recenzentka. W Oficynie Wydawniczej Silver opublikowała powieści *Wbrew pozorom*, *Serce nie siwieje* oraz *Druga szansa, czasem trzecia*. Wydała także wspomnienia pt. *Pelunia* (nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego) oraz opowiadania w antologiach: *A wszystko przez tę książkę* i *Nikomusię nie śniło*. W tym roku ukáže się jej kolejna powieść oraz zbiór opowiadań.



Katarzyna Maciantowicz

oczekiwanie

przede mną biała
kartka pusta
pustka we mnie
przeźroczysta

na
klamce
otwartego
okna
zawist
klucz
dzikich
gęsi

obtęd

słyszysz
liście odchodzą
od zmysłów



KATARZYNA MACIANTOWICZ: poetka, bibliotekarka, animatorka kultury, autorka projektu „Remiza” w gminie Lubiszyn, stypendystka prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego, doktorantka Szkoły Doktorskiej Akademii im. Jakuba z Paradyża. Zadebiutowała w 1998 roku na łamach „Filipinki”. Związana z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury, uczestniczyła w warsztatach organizowanych przez RSTK. Jest autorką dwóch tomików poezji: *Międzybywanie* (2000) oraz *Skóra* (2003).

Ołśnienia definiuję jako nanocząsteczki chwili, które zdarzają się nagle; wpadają niespodziewanie w głodne patrzenie; zaspokajają pierwotną potrzebę czucia i rozumienia. Gdy ich doświadczam, próbuję czasem ubrać je w słowa. Stąd krople wierszy, które przesyłam.

SŁOWO

Danuta Szulczyńska-Miłoś

Najpierw był szok i niedowierzenie. To nie mogło być prawdą, o takich rzeczach nie tylko się nie słyszało, ale i trudno było je sobie wyobrazić.

Kiedy we wrześniu 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, znaleźliśmy się w innym świecie. Nic już nie było takie samo, ale wtedy jeszcze byliśmy pełni nadziei, że to sytuacja przejściowa, że lada moment wszystko wróci do normy. Jak wiemy, nie wróciło nigdy, a tamten świat odszedł raz na zawsze, zostawiając za sobą nie tylko smutek, ale i... trwające nieprzerwanie zdziwienie i brak odpowiedzi na pytanie: jak do tego mogło dojść? Jak świat mógł pozwolić na... No właśnie. Na co? Do dziś nie znajduję na to odpowiedniego słowa, choć nie ustaję w poszukiwaniach.

Byłem wówczas dzieckiem. Gdy zaczęła się wojna, miałem niecałe trzynaście lat, moja młodsza siostra Rebeka siedem. Zdaniem wielu – już nie dzieci, ale jeszcze nie pełnowymiarowa siła robocza. Odkąd pamiętam, nasza matka zajmowała się domem – dbała o to, by było czysto, by posiłki były na czas, by w piątek wieczór usiąść wspólnie przy szabasowej kolacji, natomiast ojciec, wykładowca uniwersytecki, dbał o to, by niczego nam nie brakowało. I nie brakowało. Matka uczyła nas gry na fortepianie, ojciec płacił za moje lekcje gry na skrzypcach i naukę języka angielskiego Rebeki. Mama uczyła nas francuskiego, ojciec czytał nam Torę, ale... bez fanatyzmu. Nie byliśmy ortodoksyjni. Szabat był miłym spędzeniem czasu i poszanowaniem wielowiekowej tradycji, a czytanie Tory czy dyskusje przy Talmudzie miały nauczyć nas myślenia i samodzielnego formułowania wniosków. I każdego wieczoru przepytawał nas z tego, czego się dziś nauczyliśmy. Pierwsza biegła do niego Rebeka, strzelając angielskimi słówkami i tworząc, nieporadnie jeszcze, krótkie zdania.

– *My mom is beautiful!*

– *You're right. Your mom is very beautiful* – odpowiadał niezmiennie i uśmiechał się do matki.

– *Like You!*

– *Like You* – przekomarzał się.

– *Like all people* – kwitowała Rebeka, chcąc sprawiedliwości dla wszystkich.

To *like all* najczęściej padało z jej ust. Na stwierdzenie, że jest się głodnym, na komentarz, że jest się zmarzniętym, zmęczonym czy jakimkolwiek innym, zawsze padało: *like all*. *Like all* zaczęło jednak sprawiać trudność, gdy ojciec coraz częściej mówił o okropnościach, jakie działy się na ulicach. Gdy opowiadał o podpalonych sklepach, bezkarnych mordach i wieściach, że mają nas wysiedlić do getta.

– *Like all...?*

Ojciec tylko spojrzął w jej pełne wyczekiwania oczy i nic nie odrzekł. Rebeka zrozumiała, że nie jesteśmy *like all*, nie jesteśmy jak wszyscy. Do jej siedmioletniego umysłu docierać zaczęło przekonanie o byciu „podczłowiekiem”, o „gorszej rasie” i o tym, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

Matka zdecydowała o wyjeździe z Łodzi. Nie było to łatwe. Wszyscy musieliśmy nosić naszytą na ubraniach gwiazdę Dawida i mieliśmy zakaz opuszczania swoich miejsc zamieszkania. Należało uknuć jakiś dobry plan i jak najszybciej, nie czekając na nic, zaszyć się gdzieś i poczekać tam do końca wojny. Bo ile to może potrwać? Miesiąc jeszcze? Dwa? Niech i pół roku, da się to przecież wytrzymać. Mieliśmy jednak świadomość, że bez pomocy innych, bez pomocy nie-Żydów, nie przetrwamy.

W styczniu 1940 roku ojciec przyniósł dla całej naszej czwórki aryjskie papiery. Nie wiem, jak tego dokonał, nie było to istotne, choć miła była myśl, że ktoś chciał nam pomóc. Na pewno więc znajdują się i tacy, dzięki którym przeczekamy, prześpiemy ten najgorszy czas i obudzimy się w lepszym świecie. Matka zaszyła w pelerynce Rebeki kosztowności, pod podeszwę moich butów wcisnęła kilka drogich kamieni. Łódź opuściliśmy pierwszego lutego, kilka miesięcy przed zagnaniem Żydów do getta w Litzmannstadt.

Nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy. W pociągu było bardzo zimno, a ja miałem wrażenie, że wszyscy wokół wiedzą o tym, kim jesteśmy, choć przecież wyglądaliśmy dokładnie tak samo jak inni. Tylko drżąca ręka ojca, gdy pokazywał niemieckim żołnierzom dokumenty, mogła nas zdradzić, jednak blond loczki śpiącej Rebeki chyba uspiły ich czujność. Wysiedliśmy na małej stacji, gdzie czekała na nas chłopska furmanka. Na koźle siedział mężczyzna ubrany w kożuch. Nie odezwał się, gestem głowy wskazał tylko miejsce na wozie, na którym – prócz nas – leżały jakieś deski i worek z paszą dla konia.

Rodzice nie odzywali się, jakby wszystko było dawno zaplanowane i ustalone. I pewne. Ja jednak wiedziałem, że oto nasze życie po raz kolejny wywraca się do góry nogami i myśl ta była nie do zniesienia. Choć cieszyło mnie to, że jesteśmy razem i udało nam się opuścić Łódź, byłem wściekły, że tak właśnie stać się musiało. Jakim prawem traktowani jesteśmy inaczej, jakim prawem odziera się nas z godności, pozbawia domów, pracy? Dlaczego nie możemy być traktowani... *like all?*

Wczesnym popołudniem dotarliśmy do wsi, ale chwilę przed nią woźnica kazał nam opuścić wóz i schować się w lesie. Mieliśmy poczekać tam do zmroku, wtedy on po nas przyjdzie i pokaże nam kryjówkę. Spojrzeliśmy po sobie. Na dworze był mróz, i to dotkliwy, a my mieliśmy na sobie jedynie to, co zarzuciliśmy, by nie wzbudzać podejrzeń. Mężczyzna miał jednak twarz zupełnie pozbawioną wyrazu, chyba na nic nie zdałoby się tłumaczenie, że zamarzniemy.

W końcu ojciec zabrał głos.

– W porządku, do zmroku tylko kilka godzin. Wytrzymamy.

Woźnica nadal tkwił w miejscu. Patrzył teraz trochę inaczej. Jakby na coś czekał. Wyciągnięta w naszą stronę ręka potwierdziła moje przypuszczenia.

– Tak, tak, już płacę.

Ojciec włożył do dłoni mężczyzny kilka banknotów, ten jednak ręki nie cofnął. Tatuś dołożył jeszcze dwa.

– Więcej nie mam. Ale po wszystkich wynagrodzę panu trud z nawiązką.

Woźnica pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą, dotychczas do tego przeciągłe westchnienie.

– Będę po zmroku.

Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem wówczas, że nie przyjdzie nigdy, a my zginiemy tu z głodu i wyziębienia. Ale wrócił. Wrócił nad ranem, gdy zmęczeni chodzeniem w kółko dla rozgrzewki, przerażeni lutową mroźną nocą, chcieliśmy już ruszać dalej. Mężczyzna tym razem był bez furmanki. W milczeniu prowadził nas przez zasy do małej, zanurzonej we śnie wioski. Ojciec niósł Rebekę, która coraz częściej się przewracała, ja trzymałem mamę za rękę. Po jej wyrazie twarzy widziałem, że jest przerażona. Nikt nic nie mówił.

Mężczyzna wprowadził nas do stodoły. Zapach siana wywołał u mnie poczucie bezpieczeństwa, niemal radości, że jesteśmy ocaleni. Było tam ciepło i... wręcz przytulnie. Po chwili jednak okazało się, że to nie jest cel naszej podróży. Woźnica odsunął związany sznurami snopek siana i zobaczyliśmy kłapę, która wskazywała na to, że niżej jest coś jeszcze. Po drabince weszliśmy do wąskiego pomieszczenia – tak niskiego, że ojciec nie mógł się wyprostować. Początkowo nic nie widzieliśmy, kiedy jednak wzrok przyzwyczał się do ciemności i oświetlenia, jakim była wąska smuga światła ze stodoły, dostrzeżliśmy dwie skulone postaci siedzące na ziemi.

Ojciec nabrał powietrza, by coś powiedzieć, ale mama szarpnęła go za rękaw płaszcza.

– Dziękuję – odezwała się cicho.

Mężczyzna znów wyciągnął rękę.

– Pieniądze.

– Nie mam więcej...

– Pieniądze! Wiem, że macie, Żydki!

– Przecież oddałem panu już wszystkie...

– Na rano mają być.

Kłapa głucho zamknęła się nad nami. Co się dzieje?

Skulone postaci z kąta pomieszczenia okazały się dwojgiem mężczyzn – ojcem i synem, którzy, o czym po chwili się dowiedzieliśmy, są tu od ponad miesiąca.

– Jak macie jakieś kosztowności, to lepiej mu dajcie. – Starszy z nich odezwał się tak cicho, jakby był pewien, że jesteśmy podstuchiwani. – Jestem Abram. A to mój syn, Salomon.

Przedstawiliśmy się i, pomimo tych strasznych okoliczności, poczuliśmy się różnie, że mamy towarzyszy niedoli.

- Skąd jesteście? – zapytała matka.
- Stąd. Byliśmy sąsiadami Józwiaka.

Mroczna rzeczywistość zaczęła do nas docierać, ale baliśmy się zapytać o pozostałych członków ich rodziny.

- Reszta nie żyje. – Abram sam odpowiedział na nasze pytanie.
- Jest tu coś do jedzenia? Albo chociaż trochę wody?
- Józwiak pewnie przyniesie rano, ale lepiej, żebyście mieli się czym odwdzięczyć.
- Zapłaciłem mu już kilkukrotnie więcej...

– No to zastanów się, co lepsze. Dopłacić tym, co macie schowane, czy siedzieć tu tylko we dwójkę. Lub samemu...

To niemożliwe! To nie mogła być prawda! To przecież nie Niemcy!

Rebeka zaczęła marudzić, że chce pić. Długo musieliśmy jej tłumaczyć, że musi poczekać do rana. Matka starała się ją ułożyć do snu, ale tej pierwszej nocy zupełnie nie wiedzieliśmy, jak sobie poradzić. Zmęczenie jednak wzięło górę. Ojciec posadził sobie Rebekę na kolanach i tak zasnęła, a on sam nie zmienił pozycji do czasu, gdy obudziły nas pierwsze dźwięki. Najpierw był to odgłos kroków nad nami, potem jakieś szurania, szczekanie psa, dźwięk rozmów. Wstrzymaliśmy oddechy. Zauważyłem, że Salomon wyciąga coś zza pleców. To było małe pudełko pasty do butów. Przysunął się do włazu i posmarował delikatnie jego krawędzie. Potem dowiedziałem się, że ten zapach zmylał psy, które Niemcy wpuszczali do potencjalnych kryjówek. Pomyślałem o śladach, jakie zostawiliśmy w śniegu, na pewno po nich nas znajdą, nie zdołamy przedrzeć się dalej! Ale to nie byli Niemcy, to jakiś wioskowy burek miał chęć zrobić trochę hałasu. Choć na chwilę stanęły nam serca, późniejsza ulga łagodziła to uczucie. I natychmiast w naszych głowach pojawiło się pragnienie, by przyspieszyć bieg wydarzeń, zrealizować nasz plan. A plan był taki, że z tego właśnie miejsca zabrać miał nas przyjaciel ojca, byśmy mogli na tych swoich lewych papierach wyjechać do Szwecji. Tam podobno było bezpieczniej. Do końca tygodnia miał się tu po nas zgłosić jego wuj.

Kiedy do piwnicy wlało się światło, zmrúżyliśmy oczy. Byłem strasznie głodny i oczyma wyobraźni widziałem Józwiaka, który przynosi nam ciepłe butki, masło, dżem i gorące mleko. Gospodarz stał jednak przy wejściu do naszego bunkra i nic nie mówił. Po chwili jednak wyciągnął rękę w znajomym geście. Ojciec włożył mu do niej złote kolczyki, które w nocy wypruł zębami z pelerynki Rebeki. Do piwnicy wpadło zawiniątko z potową chleba. Podał nam też niedużą kankę z wodą i blaszany kubek.

Zauważyłem, że Abram po coś sięga. Za niewielkim zatodem „ściany” stało wiadro z nieczystościami przykryte grubą deską. Przeraził mnie ten fakt. „Tylko

kilka dni, tylko kilka dni...”. Powtarzałem w myślach to zdanie, żeby odsunąć strach, obrzydzenie i nie słuchać burczenia pustego żołądka.

Połowa chleba pochłonięta została przez całą szóstkę niemal natychmiast. Tylko matka swój kawałek ukryła w kieszeni płaszcza, w strasznym przeczuciu, że może być gorzej. Wypiła jednak wodę.

Kiedy kłapa nad nami się zamknęła, znów pogrzeżyliśmy się w ciemnościach oświetlanych jedynie dwiema szparami między deskami, które były akurat nad głowami matki i Rebeki. Ściany były brudne i miejscami pokryte szronem. Było nam zimno, nie było tam nawet garści słomy, którą można byłoby sobie rozestać pod głową. Była to po prostu zwykła dziura wykopana w klepisku stodoły, nierówna, płytka i mroczna jak piekielne czeluści. Nie byłem w stanie ocenić, jak duże jest to pomieszczenie, ale jedno było pewne: nie sposób było po nim chodzić, nie depcząc pozostałych.

Noc minęła podobnie jak poprzednia. Rano znów przyszedł Józwiak i rzucił nam pół bochenka chleba i kanekę wody. Kolejny ranek wyglądał podobnie. I kolejny. I kolejne. Znajomy ojca się nie pojawiał, a matka wyjmowała co jakiś czas z pelerynki Rebeki kolejne kosztowności. Abram powiedział nam, że Józwiak wziął od niego absolutnie wszystko: oszczędności, dom, zwierzęta gospodarskie. Pozwala im tu być jedynie dlatego, że Abram przekonał go, że ma więcej pieniędzy, ale tylko sam może do nich trafić. Józwiak dał mu czas do wiosny.

– Co zrobicie potem?

– Nie wiem, ale cieplejsze dni dają jakąś nadzieję.

Wiosna nie objawiła się nam zielenią i śpiewem ptaków, lecz zniknięciem szronu ze ścian i pojawieniem się wody na ziemi. Abram coraz częściej kulił się w kącie za każdym razem, gdy słyszał kroki Józwiaka.

Aż nadszedł ten dzień, gdy Józwiak kazał Abramowi wyjść z naszej kryjówki.

– Twój szczeniak zostaje, żeby nie przyszło ci do głowy uciec. Idziemy po pieniądze.

Widziałem, jak mężczyzna się trzęsie, dokładnie widziałem jego przerażone do granic obtędu oczy. Chyba chciał zaprotestować, chciał odsunąć ten moment, ale nie mógł wydusić z siebie słowa. Ojciec wyciągnął rękę w kierunku Józwiaka.

– Nie każ mu jeszcze wychodzić.

Gospodarz przyjął zapłatę.

– Niedługo i wam się skończy...

Kłapa zamknęła się, zamarliśmy w ciszy, upokorzeni tą sytuacją, swoim losem i brakiem pomysłów na przyszłość.

– Dziękuję – Abram dotknął delikatnie ręki ojca.

– No co pan... Na tym samym wózku jedziemy...

Rebeka, która przez ostatnie tygodnie głównie spała, podniosła głowę.

– Zabiją nas, prawda?

Słowa z ust siedmiolatki zabrzmiały groźniej niż huk bomb zrzuconych z samolotów. Matka przytuliła ją mocno do siebie.

– Nie bój się, nic takiego się nie stanie. To tylko... sen. Zły sen o ludziach, którzy... oszaleli.

– *Like all...?*

Znajomy zwrot przypomniał nam bezpieczne czasy. Matka się rozpląkała.

– Chyba tak. *Like all...* Świat zasnął i śni o tym wszystkim.

– All-śnienie...

Ojciec się uśmiechnął i pogłaskał ją po głowie.

– Tak. To takie all-śnienie, gdy nikt nie rozumie własnych decyzji.

Wtedy nas olśniło. Kolejno, całą szóstką, opuściliśmy kryjówkę, ruszając pod rozgwieżdżonym niebem w nieznanym kierunku.

DANUTA SZULCZYŃSKA-MIŁOSZ: pisarka, recenzentka, redaktorka i polonistka. Urodziła się w Trzciesku-Zdroju, ale od wielu lat jest związana z Gorzowem. W swoim dorobku ma publikacje w „Pograniczach” oraz „Dyskursie”. W 2022 roku wydała swoją pierwszą powieść *Podszepty*. W 2023 roku ukazała się jej kolejna powieść *Eratosfera*, a w Bibliotece Pegaza Lubuskiego – cykl opowiadań *Pomiędzy*, który był nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.



ZDERZENIE PRZY STUDNI

Ryszard Jasiński

Stońce praży. Mrówka wlecze skrzydło osy. On siedzi pod akacją na wprost studni. Wyrazisty, pewny siebie. Chyba czeka na nią. Przybiegnie spóźniona, przytula się, poszepczą, pójdą, a ja niczym kotek. Co to znaczy wobec tego, że nic nie ma we mnie. Zrobię się do dyspozycji. Podejdę, powiem mu, hej, chcę, by od razu, ale żebyś nie myślał, że ja to taka skora.

Stońce ależ dopieka. Mrówka ciągnie nogę świerszcza. Ona siedzi na cembrowinie. Skupiona na sobie. Nie dostrzega mnie. Pewnie czeka na niego. Podjedzie, skinie, siądzie przy nim, przelotnie pocałuje i odjadą, a ja zostanę niczym pryszcz na zadku. Jakie to ma znaczenie wobec tego, że ja na nic. Cały do kitu, żeby nie powiedzieć nieogłędnie: do d... Podejdę, spytam, czy nie chciałyby, abyśmy od razu i żeby nie sądziła, że tylko dybię.

Trawa schnie. Biedronka leży bez łąpek, z jednym skrzydełkiem. Jak łąknę nieistnienia, niemyślenia, nieczucia. Jestem, co jestem, nic, nie wiadomo co. Dać mu znak? Rozepnę biustonosz. Spłoszy się. Od razu pomyśli, że... Co pomyśli? Nic a nic mnie nie obchodzi, co pomyśli, byle sam ściągnął ze mnie wszystko. Zdarł.

Trawa traci zieleń. Żuk wystaje z piasku. Wiatr unosi jego głowę. Jakże pragnę niczego nie doświadczać, nie mieć zmysłów, być litym mózgiem bez możliwości kierowania ciałem. Jestem... taki nic, bardziej bezwolny niż żuk zasypywany przez piach. Rozpina, tak, na pewno rozpina biustonosz. Zdejmę koszulę. Naje się strachu? Odejdzie? Od razu wpadnie w panikę... A co mnie to, co sobie pomyśli, żeby tylko wstała i zdarta ze mnie spodnie. Rozpięta...

Gąsieniczka usituje wejść na todygę. Spada. Nie rusza się. Ma konsystencję mokrej gliny. Olcha próchnieje... Rozbiorę się. Niech widzi, jaka jestem, co mam i czy na taką czeka. Niczego nie kryję. Oby aż po ciemność. Oby wprost do krwi. Leżeć. Leżeć. Leżeć. Pająk mota motyla. Czas ma lepkość papy.

Łodyżka ugina się pod ciężarem gąsienicy. Łamię się. Proch sypie się z olchy. Zdejmę z siebie spodnie. Nie będę się maskować. Oby tylko jak najszybciej. Oby aż po blask. Oby wprost ciałem w ciało. Kolebać. Kolebać. Kolebać. Kolebać... Nawet gdy powie, że ja to nie to, co chce. Motyl miota się w pajęczej sieci. Czas – chyży oprawca.

Dlaczego ta szara cętka to ja? Dlaczego stońce kłamie? Przecież niczego nie widać ani tu, ani nigdzie. A jeżeli nie tze, a tka nade mną... Co teraz? Bądź, po prostu, bądź. Siedź i bądź. Skoro mogliśmy już teraz, zaraz, to nie dlatego, że jesteśmy tacy, jakbyśmy chcieli.

Mrówka taszczy głowę żuka. Mrówkę wypatrzył dzięcioł. Wszystko, z czego się składam, szcześnie. Na cembrowinie zostawię numer telefonu. Niech los weźmie w swoje łapska.

Czy ten szary strzęp to na pewno ja? Dlaczego stońce mówi prawdę? Wszystko wszak każdy widzi, że tylko szlochać. Jak postąpić. Spójrzeć w oczy i szepnąć, nie odchodzi. Jeżeli to jest początek czegoś bez kresu, to nie z tego względu, iż jesteśmy jak wycięci ze swoich o sobie marzeń. Dzięcioł sfrunął po mrówkę. Nic się nie ostoi. Pisze coś na cembrowinie. Numer telefonu... Odchodzi... Ach, zatem to tak, czekała na kogoś, nie przyszedł, daje znać, by zadzwonił... Niech to! Zadzwonię. Gdzie telefon. Zgubiłem! Podjeżdża goguś gagatek. Żtopie wprost z wiadra. Widzi numer. Dzwoni. Zarznę drania.

Znów pije, wyciera twarz rękawem, wylewa wodę na twarz, przymila się:

- Hej, przepraszam, że dzwonię, ale... na studni zobaczyłem numer telefonu...
 - Tak, to ja napisałam... Cieszę się, że dzwonisz... Jeśli chcesz... Czekam...
 - Gdzie jesteś? Daleko? Zaraz przyjadę...
 - Mieszkam blisko. Trzeba się wdrapać na pagórek, który przy chałupie opodal studni. Za pagórkiem jest góra, której nie widać, bo w dole. Tam będę...
- On waha się, zrywa liść akacji, wtem wstaje z trawy, coraz szybciej biegnie.

RYSZARD JASIŃSKI: rzeźbiarz, literat. W 2021 wydał dwie powieści: *Niewidzialna władza*, która zdobyła I miejsce w konkursie na powieść współczesną (Gdańsk 2003), oraz *Wrota Gomory* (powieść eksperymentalną). W 2023 roku wydał zbiory opowiadań: *Król Błot* oraz *Dziewczynna, która zgubiła imię*. W tym roku ukazały się m.in. jego tom *Paradygmaty* i *Koszyk z piór*. Mieszka w Tuplicach.



Rys. Jacek Lauda

W PARKU

Jacek Lauda

Lubię w słoneczny dzień usiąść na ławce w przydomowym parku z codzienną porcją sałatki i obserwować świat. Ten makro: drzewa niewzruszone, spoglądające za horyzont, ponad głowami ludzi. Chmury wędrujące jednostajnie w odległe miejsca. Ogrodową rzeźbę, ławki, altanę. Wiewiórki. I ten mikro: schowany w trawie, pod liściem, lekko przyczajony pod korą drzewa, pod kamieniem skryty.

Patrzyłem, jak między dotkniętymi nadciągającą jesienią źdźbłami trawy przemykał się jakiś drobiazg owadzi. Omijał łukiem grań mego buta. Ledwo dostrzegalny, wielkości ziarenka piasku. Jedyne żwawy ruch na tle statycznej scenografii i wątle refleksy odbitego od chitynowego pancerza albo od skrzydeł, trudno powiedzieć, światła anonsowały pojawienie się małego piechura. Dokąd idzie? – myślałem. Donikąd – odpowiadałem sobie. Wędruje bez celu i bez powodu. Mieszka gdziekolwiek, dziś tu, jutro tam. Zje co bądź, wiele nie potrzebuje. Nie troszczy się o jutro, o rodzinę, nie zamartwia problemami w pracy, splotami rat za mieszkanie, psującym się samochodem. Żyje tu i teraz, szczęśliwy.

Dokończyłem sałatkę i pogrzałem się przez chwilę w ciepłe schyłkowego lata.

Kto wpadł na pomysł, aby urząd umieścić na peryferiach! Zanim tam dojdę, będzie południe, nie zdążę odebrać przesyłki z poczty. Wszystko na mojej głowie, nie ma czasu odpocząć, posiedzieć spokojnie, bo ciągle coś. Chciałbym jak ten, siedzi sobie na ławce, obżera się sałatką, nic nie robi. Nic nie musi, szczęśliwy. Człowiek.

Jeszcze dzieciaki z przedszkola odebrać! Zapomniałbym! A lwona znowu w ciąży, jakby mało nam było problemów. Ile tym razem: sto? Tysiąc? Dwa tysiące? Ten na ławce to ile może mieć, jeśli jakieś w ogóle? Jedno? Dwoje? On nie wie, co to problemy.

Na piwo też nie wyjdę z Andrzejem, na ryby go wzięli, a dobry kolega był.

No ale nie ma co myśleć, trzeba przyspieszyć, bo jak ten z ławki skończy jeść, wstanie i mnie rozdepcze.

JACEK LAUDA: Pisarz, rysownik, malarz, grafik komputerowy. Urodził się w Nowem nad Wisłą, ale od lat związany z Gorzowem i AJP. Wydał dwa tomy opowiadań: *Drabina, czyli wyjście nieprawomyślne* (2003) oraz *Eskimos w operze, opowiadania na chórze, orkiestrę i kanarkę* (2013).

OBRAZY Z POWODZI

Jerzy Hajduga

Zapamiętałem, a może chciałbym zapamiętać, jeden: fala ludzi wysypuje piasek do worków i umieszcza te worki na samochodach. Ludzie robią wszystko, żeby ocalić siebie i swoje domy. Pracują w ciszy i z wzajemną sympatią. Gdzieś wreszcie znikło pocovidowe zamknięcie się na drugiego człowieka, wyrażane często agresją i złością. Jest nadzieja, że skoro można wspólnie napętnić worek z piaskiem, to chyba da się też żyć obok siebie we wzajemnej życzliwości.

Woda opadnie i wszystko wróci. Jadąc ostatnio pociągami, próbowałem nawiązać kontakt z pasażerami. Obok pan w średnim wieku czytał książkę. Dziewczyna miała na uszach słuchawki. Para zakochanych była zajęta sobą. Ktoś rozwiązywał krzyżówkę i dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie pomocy. Tytuł ludzi tak blisko, a tak dalecy sobie i zamknięci w swoim świecie. Nic nowego, do końca podróży nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. A jednak. Na głównej stacji pan, który siedział obok mnie, zamknął książkę. Nasze oczy się spotkały. Czuję, że się rozumiemy. Za chwilę ktoś poprosił, aby mu pomóc zdjąć bagaż z górnej półki. I znowu spojrzenie w oczy. Krótkie chwile spotkań bez słów.

Znowu rozerwanie nieba. Mokniemy razem, pusty pociąg i ja. Deszcz rozrywa niebo na drobne kawałki chmury. Mów, co chcesz i jak chcesz, nigdy nie czułem na sobie tyłu oczu. W każdym oknie pada.

Woda opadnie i wszystko wróci. Jeszcze groby przewrócone, otwarte trumny. Zmarli przez chwilę machają do nas. To obraz z mojego wiersza *Aby się wyostać*, napisany po innej powodzi, tej z roku 2010. Kto kogo żegna, sen nazbyt długi. Nasza nadzieja w obliczu obecnego żywiołu niech pozwoli uwierzyć, że nawet wielkie wody „nie zdołają ugasić miłości”.

wrzesień / październik 2024 r.

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpuść od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022). Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

Monika Miłoś

Brzytew nie ma

Wczoraj żyto się jakoś prościej
 Brat dla siostry
 Siostra dla brata

Nikt nie ganiał w skrajnej niemocy
 Terapeutom głowy zawracać

Dzisiaj szczęście w domach z żurnala
 Ciemno zimno bezdennie głucho

Tonąc przyszło w odmętach świata

Brzytew nie ma
 Więc czego się łąpać

Przemijanie

Dotykem chłodnych mgieł
 Otulam (bez)dzienność
 Wieczornieję

Zegar odmierza smutnienie
 Tik tak tik tak

Układam do snu
 Spracowany oddech
 Nieprzpracowane myśli

Zegar odmierza (bez)senność
 Tik tak tik tak

Przysiadam pocałunkiem
 Na poranku
 Dnieję jaśnieję

Zegar odmierza czas
 Tik tak tik tak

Ile jeszcze wschodów jest dla mnie
 Bym im mogła
 Powierzać swój blask

MONIKA MIŁOSZ: mieszkanka maleńkiej wsi w gminie Dobiegniew. Jej wiersze ukazywały się na łamach „Ziemi Strzeleckiej”, „Pryzmatu Literackiego”, „Czterech Zeszytów and after” oraz w dwóch antologiach poetyckich: *W rytmie poezji 2* i *Niosąc pomoc Olusiowi*.

Laureatka szczyńskiego Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr” oraz tegorocznego konkursu „O łabędzie pióro” w Barlinku. W 2023 roku jeden z jej wierszy został wyświetlony na ścianie kamienicy na ul. Brackiej w Krakowie w ramach projektu „Wiersze na murach”.

PROBLEM ZAGINIONEGO ORYGINAŁU W NIEZNANYM JĘZYKU

Jerzy Alski

Hugh Everett III ma niewątpliwie słuszność, kiedy twierdzi, że nie istnieje żadna (jak do tej pory) reguła fizyczna powodująca, że superpozycja (istnienie czegokolwiek jako fali, czyli możliwości) redukuje się do jednego określonego stanu kwantowego (którym jest dla nas obserwowalna rzeczywistość) – i tylko jednego. Dokonanie redukcji (co można porównać do przejścia z przestrzeni konfiguracyjnej do realnego świata) byłoby jednocześnie aktem wyboru: to – tak, a tamto – nie. Jest to przykład na operację z ukrytym argumentem *a posteriori*, ponieważ poznajemy tylko jedną redukcję funkcji falowej w postaci zamieszkiwanego przez nas świata, twierdzimy, że inne w tym momencie zaistnieć już nie mogą, bowiem – z poznania – nie istnieją. A dlaczego tak? Skoro są matematycznie równoprawne? Podnoszony argument z poznania po fakcie, a też z konieczności wyliczenia się z energii, traci podstawy wobec niestykanie sprytnych doświadczeń, w których proponuje się pojedynczemu fotonowi podróż przez półprzepuszczalne lustro, w którym może on się od niego odbić i pobiec jedną drogą, albo może przez nie przejść i pobiec drogą inną. Można by się spodziewać, że pojedynczy foton wybierze to lub tamto – otóż nie. Jeden foton wybiera obie – biegnie i tędy, i tamtędy. Biegnie dwiema drogami równocześnie – czyli jest go dwa, a potem znowu jedną – czyli jest go jeden. Tkwiące w przestrzeni konfiguracyjnej możliwości zaciągania pożyczek energetycznych (z odroczeniem spłaty!) oddalają argument, skąd tę energię brać – bo stamtąd właśnie, a co jest możliwe dla jednego fotonu, jest również możliwe dla nich wszystkich, bowiem są absolutnie identyczne. Są aż tak bardzo tą samą cząstką, że istnieją ekscentryczne teorie powiadające, że wszechświat zbudowany jest z jednej cząstki elementarnej, poruszającej się odpowiednio chyżo w przód i w tył w czasie (być może również i w innych wymiarach), która, oscylując, tworzy w ten sposób wszystko, łącznie z nami samymi. Ale wróćmy do Hugh Everetta III.

Hugh Everett powiada, że zachodzą wszystkie możliwe redukcje. Jak z czubka gałązki wyrastają pączki potomne, tak z każdej redukcji wyrastają potomne światy i dzieje się tak nieustannie, w planckowskich odcinkach czasu. Wizja jest monstrialna, jeśli wziąć pod uwagę ilość odcinków czasu Plancka od początku wszechświata i, konsekwentnie, ilość rozgałęzień. Ilość światów istniejących wokół nas jest niepoliczalna, a o żadnym z nich, poza naszym, nic nie wiemy. Ponieważ dostępny naszemu poznaniu jest jedynie nasz świat, a te inne istnieją gdzie indziej. Dostownie. Pomiędzy nimi dochodzi zapewne do interakcji, łączą się one ze sobą ponownie i rozłączają, mieszają, tworzą zbiory częściowo

wspólne i częściowo rozłączne, znachodzą się. To piękne słowo „znachodzić” – ze starej polszczyzny i warte przypomnienia – doskonale oddaje w kategoriach opisowych ów dziwny proces, który się między everettowskimi światami dokonuje – one się znachodzą. Konsekwencje takich zjawisk rysują się dość tajemniczo, niemniej mogłyby one tłumaczyć pewne niezrozumiałe zdarzenia, obecne w świadomości historycznej – w opowieściach, w których pojawiają się i giną kontynenty niemalże – jak Atlantyda, która w naszym świecie nie istnieje (przy współczesnych możliwościach odnaleziono by ją na pewno!), a o której opowiadał przecież Solonowi ów kapitan egipski, co starannie relacjonuje Platon, w opowieściach, w których Dogonowie, zatrzymani razem ze swoimi drewnianymi motykami na etapie neolitu, posiadają wiedzę o niemożliwej do ujrzenia bez teleskopu towarzyszącej Syriuszowi ciemnej gwiazdzie (którą pierwszy znany na tej Ziemi raz ujrano w 1862 roku), w opowieściach, w których Amerykę w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia nawiedzają UFO i gazety są pełne zdjęć ludzi, którzy UFO widzieli, tylko jakoś do dzisiaj żadnego zdjęcia UFO nikt nie pokazał i tak dalej, dalej, dalej. Jeśli trzymać się teorii wielu światów, wszystko, co może się zdarzyć, zdarza się na pewno. W którym świecie? Nie wiemy tego. Niemniej, gdyby historyczną opowieść przyrównać do opowieści o lesie, to idąc przezeń naturalnym będzie wędrować w cieniu świerków, schylić się po borówkę, zoczyć jelenia. Natomiast ujrzeć wiszące na gałęzi zwierciadło już nie – będziemy szukać przyczyny zwierciadła w opowieści o lesie i skutku, jaki ono na opowieść o lesie wywiera. Jeśli znajdziemy – dobrze. A jeśli nie? Od ponad stu lat biedzimy się nad odczytaniem dysku z Fajstos – i nic. Zwierciadetko, powiedz przecie!

W pewnej opowieści Jorge Luis Borges relacjonuje znajomość jej bohatera z Troglodytą, który mówi mu, że jest Homerem. Rzecz dzieje się za cesarza Dioklecjana, około 297 roku, bohater nazywa się Marcus Flaminus Rufus i jest trybunem wojskowym. Nawiedzony przemożnym impulsem wędruje na zachód i południe od rzeki Egipt (tak w oryginale), aby odnaleźć inną rzekę – z której wypicie wody powoduje nieśmiertelność. Po wielu okrutnych przygodach dociera do góry i rzeki. W wydrążeniach góry mieszkają Troglodyci, niemówiący i pożerający węże, zaś rzeka jest piaszczystym, pełnym nieczystości strumieniem. Związany przez nie wiadomo kogo powrozem bohater przeżywa tortury głodu i pragnienia wśród boskiej obojętności otaczających go Troglodytów. Stacza się do strumienia, wypija nieczystość, staje się nieśmiertelny. Zjada mięso węża i wyrusza do miasta wzniesionego przez Nieśmiertelnych, jak domniema. Towarzyszy mu jeden z Troglodytów – tak samo brudny i nędzny jak oni wszyscy, i jak oni wszyscy milcząco obojętny. Miasto przeraża bohatera i napętnia odrazą, sprawia wrażenie niezmiernej starożytności, nieskończoności, okrucieństwa, złożonej nedorzeczności (cytuje za relacją Rzymianina). Miasto jest niezamieszkałe. Kiedy Rzymianin opuszcza je, napotyka ponownie Troglodytę, siedzącego na piasku

i kreślącego w nim znaki mogące być pismem, zupełnie niezrozumiałe. Pomysł, aby ktoś, kto nie umie mówić, postugiwał się pismem, wydaje mu się niedorzeczny. Bohater woła na Troglodytę Argos – od imienia wiernego psa Odysa; wydaje się on wierny w podobny – inny niż ludzki – sposób. Pewnej nocy spada deszcz, w strumieniach wody leżącej się z nieba tańczą opętani korybanci – Troglodyci. Bohater woła: *Argos!* Ten zatrzymuje się i z łagodnym zachwytem, jakby odkrywał rzecz nieskończenie dawno utraconą, odpowiada: Argos, pies Odysa. Ten pies leżący na gnoju.

Jest to Homer, przynajmniej tak odpowiada na pytanie, kim jest. Na kolejne pytanie, co wie o *Odysei*, odpowiada: *Bardzo niewiele. Minęło już chyba tysiąc sto lat od czasu, gdy ją wymyśliłem* (cytuję za opowieścią). Homer jest Nieśmiertelnym, Troglodyci to Nieśmiertelni, miasto jest porzuconym Miastem Nieśmiertelnych, strumieniem spływa woda dająca nieśmiertelność. Reszta opowieści ma dla naszych rozważań drugorzędne znaczenie.

Niepokój czytelnika pojawia się, gdy ten dostrzega, że Marcus Flaminius Rufus od pewnego momentu zaczyna postugiwać się językiem pełnym patosu. *Gniew złowrogi, co krocie klęsk na Achajów sprowadził, wiele potężnych dusz bohaterów w podziemia Hadesu strącił** – Marcus Flaminius w którymś z wielu momentów rzeczywistości wkracza w patos. Patos jest przedśmionkiem milczenia – atrybutu boga czy też bogów, albowiem tylko milczenie może przewyższyć patos – najwyższe ludzkie uniesienie. Wyżej zaczynają się bogowie i banalnym jest przypomnienie, że Troglodyci milczą. Nie znaczy to, że są bogami – przynależy im jedynie ten boski atrybut, jeden z niepoliczalnych atrybutów boga, czy też bogów, będący ich wyborem. Natomiast nieśmiertelność jest ich atrybutem przygodnym, ponieważ z opowieści wynika, że istnieje rzeka (nie wiadomo gdzie), z której wypicie wody atrybut nieśmiertelności znosi – zatem jest on przygodny, od Troglodytów niezależny (przypadkowe wypicie wody nieśmiertelność unieważnia). Przywołując w tym momencie teorię Hugh Everetta, możemy zauważyć, że bogowie mogą być kimś, kto stał się kim innym aniżeli był wcześniej. Mogą być – tutaj obecni – skutkiem otarcia się innego świata, z odmienną redukcją funkcji falowej, o nasz świat. Ponieważ otarcie się – „znachodzenie” – jest zjawiskiem (jak można domniemać) na obrzeżach rozmytym, w opowieści Jorge Luisa Borgesa bohater – wkraczając w przestrzeń otarcia – wkracza w patos, właściwy (zapewne, czy też tylko być może) tamtemu światu. Światu Homera, możliwe że będącym przedśmionkiem świata bogów.

Przeprowadzane tutaj rozumowanie ma na celu sformułowanie pewnego paradygmatu – bo nie ma on szans stać się tezą – o możliwych konsekwencjach przyjęcia za prawdziwe twierdzenia Hugh Everetta III o nieskończeniu rozwidlających się światach. Poszukiwania śladów innych światów dokonujemy tutaj na podstawie opowieści Borgesa o pewnym Rzymianinie i pewnym Troglodycie –

ten ostatni powołuje się być Homerem. W roku 297 powiada on, że minęło już chyba tysiąc sto lat od czasu, gdy wymyślił *Odyseję*. Zbierzmy fakty, podejmiemy przewrotny trud nadania im interpretacji – waloru paradygmatu.

Jeśli wymyślił *Odyseję*, to wymyślił i *Iliadę* – obie opowieści są ze sobą nierozłączne w sposób historycznie zależny: *Odyseja* odwołuje się do *Iliady* bez rozwijania określonych wątków z tej ostatniej; obeznanemu czytelnikowi ma wystarczyć – i wystarcza – przywołanie zdarzeń opisanych w pierwszej dla uzasadnienia zdarzeń opisywanych w drugiej. Obie istnieją w każdym razie, a ten, kto napisał *Odyseję*, musiał przynajmniej znać, jeśli nie sam napisać (co bardziej prawdopodobne, ze względu na zwartość stylistyczną obu) *Iliadę*. Natomiast zupełnie osobnym zagadnieniem jest, czy Troglodyta nazywający siebie Homerem ma na myśli *tę Iliadę* i *tę Odyseję*, którą my znamy. Oraz, czy nazywając siebie Homerem, ma on na myśli *tego* Homera, którego my znamy.

Zacniemy od zagadnienia drugiego. Zdarzenia opowieści toczą się pod koniec trzeciego stulecia i jeśli Homer powiada, że wymyślił epos tysiąc sto lat temu, to zgadza się to z przyjętym jego datowaniem. Homer kreśli na piasku znaki mogące być pismem, niemniej są one dla Marcusa Flaminiusza niezrozumiałe. W okresie powstawania eposów (czy też ich spisania) w użyciu była greka archaiczna. Z racji jej podobieństwa do greki klasycznej, obowiązującej później, byłaby ona Rzymianinowi wykazującemu wiedzę o literaturze znajoma. A nie jest. Zatem Homer kreśli znaki starszego pisma. Co takiego mógł Homer wcześniej stworzyć, co wraca do niego w odruchowym kreśleniu znaków? Kodeks Hammurabiego? Podanie o Ut-Napistimie? Dysk z Fajstos? Wymyślenie – jak on sam to określa – obu eposów wydaje się osiągnięciem niezrównanej wartości i należałoby się spodziewać pisma greckiego. Być może jeszcze starszego – być może pisma linearnego (dysk z Fajstos). I najważniejsze: Troglodyta Homer nie jest ślepy. Imię Homer w archaicznym języku greckim oznaczało (między innymi) człowieka zmuszonego do wędrowności.

Homer historyczny – ten, którego do tej pory uznawaliśmy za autora *Iliady* i *Odysei* (pod pojęciem ich autora rozumiejąc osobę, która w oparciu o pozostające w pamięci zbiorowej zdarzenia historyczne, podania i mity stworzyła oba wymienione eposy) – ten Homer (według legend) nazywał się pierwotnie Melesigenes i był synem boga rzeki Meles i pewnej nimfy. Nie ma w tym nic dziwnego; w Grecji starożytnej osobom wybitnym z reguły przypisywano boskie pochodzenie. Ten Homer był ślepcem i jest to wielokrotnie w przekazach i przedstawieniach Homera podkreślane. Żył w ósmym stuleciu przed Chrystusem, zatem zanim oślepnął, znał zapewne archaiczną grekę w piśmie, natomiast jest wątpliwe, aby znał pismo linearnie B (pismo mykeńskie – wcześniejsze) i jeszcze bardziej wątpliwe – pismo linearnie A lub najstarsze pismo kreteńskie (najwcześniejsze pismo w kulturze europejskiej – to pismo, w którym sporządzona jest inskrypcja na dysku z Fajstos).

W stosunku do dzieł tego Homera, którego my znamy, nigdy nie użyto pojęcia, że zostały one „wymyślone” – zostały one (że powtórzą się) stworzone przez Homera w oparciu o pozostające w pamięci zbiorowej zdarzenia historyczne, podania i mity. Homer eposy stworzył z czegoś, co już było, a nie wymyślił z niczego. Jeszcze jedno: imię Homer w archaicznym języku greckim oznaczało również ślepeca. I tak oto mamy do czynienia z dwoma Homerami w miejsce jednego. Uporządkujmy to.

Historycznie rzecz biorąc, Troja – Ilion istniała naprawdę. Za jej lokalizację uznaje się wzgórze Hissarlik w zachodniej Turcji. Heinrich Schliemann sto pięćdziesiąt lat temu dokopawszy się tam spalonych ruin podobno płakał ze wzruszenia, niestety, takich zrujnowanych warstw wyodrębniono dziewięć. Troja Priama jest być może warstwą szóstą. Niemniej, wojny toczyły się tu wiele razy, czego dowodem dziewięć warstw gruzu i popiołu, w których nie sposób szukać grobu Patroklosa czy Hektora.

Iliada – ta, którą znamy, napisana jest archaiczną greką, konkretnie w archaicznym dialekcie jońskim, ale – co ciekawe – zawiera ona również zwroty i całe frazy zaczerpnięte z języka mykeńskiego, znacznie wcześniejszego, zapisywanego pierwotnie pismem linearnym B. Był to zapewne język Achillesa, Heleny, Menelaosa – język, jakiego używali bohaterowie i herosi, oblegając Troję, co zostało opisane w *Iliadzie*.

Tak oto doszliśmy do sformułowania karkołomnego paradygmatu. Żadnej Wojny Trojańskiej nie było. Historię tę wymyślił Homer Troglodyta, nieśmiertelny od setek lat i od setek lat nudzący się niepomierne – tak bardzo, że przez lata całe nie chciał mu się z nikim gadać. Wymyślił ją w oparciu o rozmaite bijatyki, które przez stulecia oglądał po gościach i pastwiskach – bijatyki od zawsze te same: o miłość, złoto, władzę. Wymyślił ją był, mieszając dialekt mykeński z archaiczną greką (jemu było w końcu wszystko jedno), po czym, być może dla zabawy, opowiedział ją albo zapisał i przekazał (może podarował) Homerowi Melesigenesowi, po czym zniknął – udał się gdzie indziej. Homer Melesigenes pozostał z opowieścią – znakomitą fabularnie i rozwinął ją do postaci znanej nam obecnie. Niewątpliwie był obdarzony niemal boskim talentem, być może właśnie dlatego został przez Homera Troglodytę wybrany, a być może udzieliła mu się jakaś częśćka boskiej atrybucji przekazana mu przez Homera Troglodytę, a jeszcze lepiej – przez sam tekst. Czy tak było? Nieskończona ilość światów to nieskończona ilość wariacji wokół zdarzeń, które znamy z jednego świata – bowiem w nieskończoności nie tylko mogły, ale musiały powstać wszystkie możliwe możliwości, zatem taka, którą opisują, też.

Cała ta sprawa ma jeszcze jeden aspekt: z czym właściwie w wypadku *Iliady* mamy do czynienia? Borges podnosi ten problem w pewnej polemice traktującej o przekładach z oryginału, jakim dla niego jest grecki tekst *Iliady*. Stawia on pytanie: Który spośród wszystkich przekładów jest wierny oryginałowi? I odpowiada:

Żaden albo wszystkie. Bowiem jeśli ma to być wierność zamiarom Homera, wierność ludziom i wydarzeniom, które on przedstawiał sobie przed oczami, a które w takiej postaci odeszły wraz z nim bezpowrotnie, przekład ma być ponownym przedstawieniem w sobie tych obrazów – w innych czasach i w innym języku. Jedyńm niedopuszczalnym przekładem byłby przekład dosłowny, zawierający w sobie tamtą *Iliadę*, w tamtym języku, tamtym czasie właściwą, a dzisiaj już nieobecną i martwą. Przekład wymaga ponownego ożywienia opowieści w postaci takiej, na jaką pozwala tłumaczowi jego wyobraźnia i jedynie jej brak może spowodować, że translacja przerodzi się w ekshumację. W wypadku *Iliady* Homera Melesigenesa problem osiąga niespotykaną głębię – stworzył on epos z opowieści, która zaistniała w imaginacji Homera Troglodyty, w języku i formie, których nie poznamy nigdy, ta opowieść została przez niego opowiedziana tylko jednej osobie – Homerowi Melesigenesowi właśnie, po czym opowieść ta zniknęła – wraz z Homerem, o którym pisze Borges. A ten Homer stworzył z niej tę *Iliadę*, którą znamy dzisiaj. Obie *Iliady*, a właściwie wszystkie *Iliady*, zdarzają się koniecznie, bowiem nawet jeśli my istniejemy w świecie, to świat – tak naprawdę – istnieje w nas.

Inspiracją do napisania powyższego żartu było opowiadanie Jorge Luisa Borgesa *Nieśmiertelny* (w tomie: *Alef*), oraz – również Borgesa – esej *Różne wersje Homera* (w tomie: *Polemiki*).

* Fragment *Iliady* w przekładzie Ignacego Wieniewskiego, Księga I, wers 2-4.

JERZY ALSKI: Pisarz, felietonista, kompozytor, myśliciel. Członek ZLP. Miłośnik życia i uważny obserwator ludzkiej natury. Mieszka w Myśliborzu. Wydał kilka powieści, m.in.: *Za dużo miłości* (2011), *Prezent* (2012), *Mowa pogrzebowa* (2017), *Ekosystem* (2019), *Zachwyty* (2021), *Lot* (2021), *Kobiety i Grześ* (2022). Alter ego uznanego lekarza Krzysztofa Ansilewskiego.



LEMNISKATA

Zbigniew Witostawski

Moja edukacja przebiegała bez zakłóceń i wstrząsów do czasu opanowania sztuki czytania, a może nawet odrobinę dłużej. Dokładnie do tej chwili, w której dowiedziałem się, że najważniejsze treści wyczytać można między wierszami. Od tej pory nie czytywałem już wierszyków w ulubionym periodyku dla nieletnich, lecz pilnie wpatrywałem się w puste miejsca pomiędzy owymi utworami. Bywało, owszem, że znajdował się tam jakiś obrazek lub ornamencik i w nich to starałem się odnaleźć treści głębsze, horyzonty szersze, a myśli wyższe niż w wierszykach owych – prostych, banalnych i ubogich.

Trwał ten stan czas jakiś. Mimo pewnego ograniczenia lektury na rzecz dociekań międzywierszowych, język mój bogacił się. Dzień, w którym dowiedziałem się, że wiersz to nie tylko to, co ma rym i składa się z przynajmniej jednej zwrotki, ale że to także linijka tekstu, dowolnego tekstu, ten dzień był dniem przetomu.

O ile do tej pory poszukiwania moje skupione były na poezji, tak teraz zająłem się wszelkim słowem drukowanym i pisanym. Próbowałem rozmaitych sposobów. Wpisywałem na przykład między wierszami nowe linijki tekstu, mądrzejsze od pierwotnych, tak jak nowe pokolenia dysponujące wiedzą większą niż poprzednicy. Lecz wówczas okazywało się, że między wierszami starymi a nowymi jest miejsce na coś jeszcze. I treści najważniejszych trzeba szukać znów między wierszami, umieszczałem więc tam treści ważniejsze i znów...

W ten sposób, nie mając zbyt wielkiego pojęcia o naukach ścisty, a obserwując tylko ciągłe wzrastanie ilości treści międzywierszowych i podwajanie liczby międzywierszy po każdym cyklu wpisywania, samodzielnie doszedłem do zrozumienia pojęcia nieskończoności, zaś dzieląc na coraz mniejsze części papier i atrament, wydedukowałem ideę atomu. Te drobne osiągnięcia nie przystąpiły jednak celu zasadniczego.

Dociekania trwały wiele lat. Przeróżne teksty badałem pod lupą i pod mikroskopem. W piwnicy urządziłem laboratorium, aby w kąpielach sporządzonych z najrozmaitszych chemikaliów wywołać międzywierszowe mądrości. Wszystko na nic. Wynałazłem co prawda przy okazji metodę konserwowania starodruków, stosowaną od tej pory w muzeach całego świata, ale nie dało mi to żadnej satysfakcji.

Czas mijał nieubłaganie, a ja ani trochę nie zbliżyłem się do celu. Kiedy zauważyłem w mej przerzedzonej już nieco czuprynie pierwsze nitki siwizny, ogarnął mnie paniczny lęk. Od tej pory pracowałem jeszcze więcej, myślałem jeszcze intensywniej. W końcu siły zaczęły mnie opuszczać.

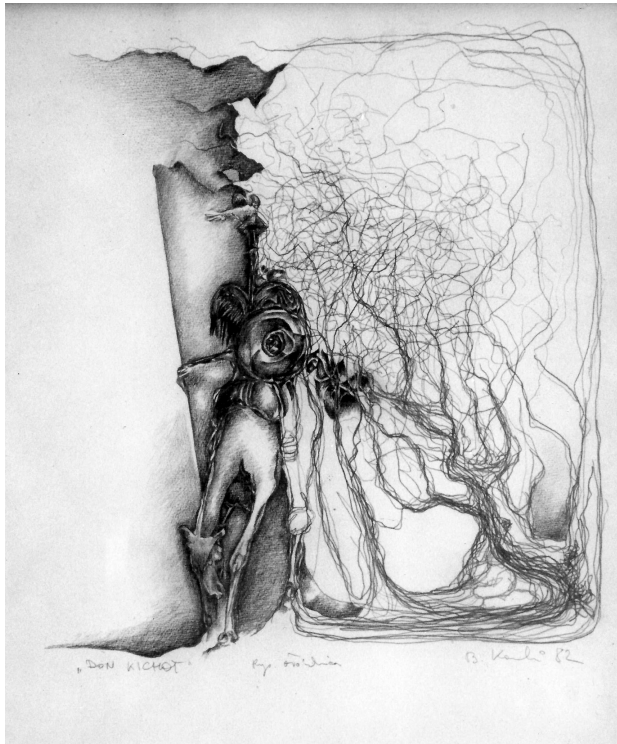
Byłem stary, zmęczony, zawiedziony, gotów roztkliwiać się nad swym tragicznym niespełnieniem. Przebiegałem myślami moje marne życie, siedząc jak

zwykle przy biurku i wpatrując się, tym razem zupełnie bezmyślnie, w międzysze jakiegoś tekstu.

Ośnienie, iluminacja, eureka! Dla tej chwili warto było poświęcić życie. I pomyśleć, że od wielu lat miałem prawdę przed oczyma, że ona wprost sama się nasuwała, była aż nachalna w swej oczywistości.

Stoję nad grobem, lecz nie boję się śmierci, bo zdążyłem wykonać swe zadanie, bo osiągnąłem cel. Niestety, nie opublikuję swojego odkrycia. Ludzkość nie dorasta do tej wiedzy, spożytkowałaby ją w sposób niecny, nikczemny i niegodziwy. Jak zwykle.

ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. I nagrody w IV Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.



CZAS WIELKIEGO SEZONU¹

Maciej J. Dudziak

Na chwilę przed każdą gwałtowną zmianą następuje moment, w którym pozory rzeczywistości zastygają w nieznanym do tej pory formach: fotosynteza w zielonościach wyhamowuje, poduchy chmur odbijają jęzory słońca, w dość nieoczywisty sposób tworząc załamania i szczeliny, przez które wpełza czas Wielkiego Sezonu. Te chwile łączące się w ciągi dłuższego trwania tworzą struktury czasów efemerycznych, wczepiając się pod ukrwione młodością powieki, w których krążąca limfa przydaje żywotnych soków twórczości wszelakiej. W tym naiwnej.

Te szczególne momenty składają się na współczesny *rite de passage*, ten szczególny rytuał przejścia, od którego opędzić się nie mogą nawet najbardziej wytrwali w myśleniu o racjonalności, ale nieświadomi spętania żywą tkanką irracjonalności, buzującą niczym spiętrzenie na Jeziorze Gross, gdzieś w molekułach. Rytuały bywają niezauważalne lub banalne, ale konstytuują powtarzalność, ten cykl człowieczy pozwalający naiwnie wierzyć w pewność jutra, stabilność dziś i niezmacone wczoraj. To ostatnie zwłaszcza, im dalej od siebie samego, tym bardziej ociosane z zapachu, faktyczności i dotyku, staje się lepkiem ciastem pachnącym głównie wyobrażaniem.

1990. Czas Wielkiego Sezonu. Rytuał przejścia, ów *rite de passage*, który wyrwał mnie z objęć socjonalizmu, który w sposób szczególny, choć znany magom narodowej metawspólnoty od kilku dekad, lepił nienawiść do Innego, zbudowaną na filmie, książce i masowym wyobrażaniu wroga. Powoli i nie od razu.

Mimo że szkołę podstawową od liceum dzieliło zaledwie kilka ulic, światy te były od siebie tak oddalone, że zupełnie nieprzystawalne. Oddzielało je wszystko: zapach, kolor i przede wszystkim różnorodność zmian.

1 września. Data-symbol. Daty-symbole mają zawsze wielkie potomstwo. Tak wielkie, że można by wyłącznie spędzać okrągły rok na urodzinach dat-symboli (zabili, przegrali, oszukani, zdradzeni, cios w plecy, tydkę i pośladek. Daty-symbole zapijaczają się w rozpaczach. Chyba, że cud wiślański, no ale to już Matka Boska).

Ustawiony w czworoboku zamykającym betonowe boisko szkolne, wwiercałem się spojrzemiami w twarze braci licealnej, zwłaszcza nieznanymi dziewcząt spoza Translandii. W przeciwieństwie do monochromatycznych czasów nieboszczyzny socjalizmu, ów sezon zmian gwałtownych wybuchał sympatyczną oku tandetą mniej lub bardziej zaawansowaną, ale zawsze jednak różną od szarości struktury i faktury nowych kolorów.

1 Tekst jest fragmentem książki pod tytułem *Translandia*.

W samej szkole również czuć było wiatr zmian. Czy ciepły, czy też zimny – było mi to zupełnie obojętne. Podówczas, gdy starsze koleżeństwo rozdyskutowane było co do bieżących wydarzeń politycznych, ja namiętnie towiłem nowe twarze i zapachy zupełnie mi do tej pory nieznanne. Na dobiegające niemal ze wsząd rozmowy, czy orzeł w koronie, czy pazury ze złota, że „stety lub niestety” – religia w szkole, aborcja, ale ja spoglądałem na to i przysłuchiwałem się z równym zaangażowaniem i zaciekawieniem, co omawianemu na pracach ręcznych problemowi cykliów pracy pralki automatycznej. Solidarność była wówczas dla mnie przede wszystkim konspiracyjnym milczeniem o urządzanych w radiowęźle zakrapianych kolejnych osiemnastkach.

Już po kilku tygodniach odnosiłem przemożne wrażenie, że wszystko, co ważne, już się wydarzyło. Starsi koledzy żywo rozprawiali o własnych dokonaniach kombatanckich, gdyż kolportowali już przed czasem zmian gazetki podziemne w szkolnych plecakach. Pozostawiało to we mnie niezbyt silne, ale zawsze poczucie, że historia się skończyła i nic więcej ciekawego się nie wydarzy, a najważniejsze – że mnie to ominęło.

W tym samym wrześniu, na jednej z pierwszych lekcji historii, Pani Profesor zaprezentowała continuum czasowe rozwoju historii, w którym na początku był chaos, proste formy regulacyjne społecznych relacji ewoluujących kolejno przez feudalizm, kapitalizm, do najwyższej, jak to określiła Pani Profesor, formy rozwoju ludzkości w kierunku komunizmu. Nic w tym dziwnego, choć wówczas nie brzmiało to adekwatnie do czasów wielkich zmian. Kilka lat później okazało się, że model prezentowany przez Panią Profesor był XIX-wiecznym sposobem widzenia rzeczywistości, co ciekawe obowiązującym w dalszym ciągu, w różnych wariacjach, wciąż w wieku XXI: są lepsi i gorsi, mniej podatni i oporni na demokrację, niewpisujący się właśnie w model linearnego rozwoju, na którego końcu stoi zawsze i nieodmiennie biały człowiek. Wówczas jednak najbardziej docierało do mnie wyjaśnienie jednej z zagadek dzieciństwa: dlaczego znajdujące się po sąsiedzku jezioro nazywane jest Reinhardta.

Pierwsze miesiące nowej szkoły, tego wstępu do od zawsze oczekiwanej nieprzetrawionej dorosłości, upływały w dalszym ciągu na trawieniu wdrukowanego socnacionalizmu i przeświadczeniu o arcypolskości. Po lekcjach, przynajmniej dwa razy w tygodniu, zaglądałem do Pana Zbigniewa. Kurtyny książek i wszędobylski zapach farby drukarskiej, który towarzyszył mi od zawsze, pobudzały zmysły. Pan Zbigniew z przymrużeniem oka komentował zmieniającą się z dnia na dzień rzeczywistość pełzającego i pokracznego kapitalizmu, który już na dobre rozgościł się w naszym mieście, obsiadając tanim, syntetycznym kolorem wszędobylskie stragany i sklepy. Rozmowy sięgały daleko głębiej i niżej, dalej poza bieżącą półtrzęsych form rentowności i komercjalizmu. Pan Zbigniew szorstką dłonią mierzwił moje ikarowe skrzydła.

– Ty naprawdę tak myślisz? – spytał, gdy ze zniecierpliwieniem, wbity w fotel pod telewizorem, oczekiwałem na recenzję jednego z pierwszych tekstów. Pękałem z autodumy. Wszak pisałem na podstawie rozmów o temacie, który wówczas rozpałał mnie do gorąca. Wrzesień 39. Dotarłem do żołnierzy września z naszego miasta. Jeden z tekstów zaczynał się mniej więcej tak: *Sierżant Gorałewski chwycił za karabin. Był dla niego jak brat. Miał tylko kilka nabojęw. Z daleka widział szare, stalowe bestie odwiecznego wroga – Niemców. Czarne krzyże widoczne były już z daleka. Nie zastanawiał się. Za Boga i ojczyznę! Bij Niemca! Na Niemca!*

– Ty naprawdę tak myślisz? – powtórzył pytanie. Właśnie: powracające pytanie, dlaczego myślę, jak myślę. Kto, co i jak wpłynęło na uwiady, więzy mojego myślenia?

*

Z nieznanym mi wówczas przyczyn, szkoła opiekowała się Panią Dąbrowską. Mieszkała na tyłach szkoły, w małym poniemieckim domku okolonym mocno zaniedbanym ogrodem. Wyprawy do Pani Dąbrowskiej nie były w cenie wśród kolegów i koleżanek, a obowiązek dostarczania jej obiadów przez okno stawał się przedmiotem handlu wymiennego prowadzonego wśród uczniów.

Kiedy pewnej jesieni, w trakcie Wielkiego Sezonu przyjechała do naszej szkoły delegacja z jednej z chrześcijańskich szkół w Holandii, okazało się, że nikt nie jest w stanie się z nimi porozumieć. Mówili po angielsku. Jediną osobą była Pani Dąbrowska. Było zimowe popołudnie. Słońce letargowało już od dłuższej chwili, coraz bardziej wciskając się za barczystą nitkę wzgórz. Temperatura spadała. W szkole panował nastrój pobudzenia. Holendrzy z uśmiechami próbowali coś opowiadać, ale poza YES i OK z naszej strony nie padały żadne komunikaty. Nacjosocjalizm zadbał nie tylko o zamknięte granice, ale również o zamknięte głowy i brak możliwości komunikacji. Nagle wszystko się zmieniło. Wkroczyła Pani Dąbrowska ubrana w zdobną i adekwatną do sytuacji suknię. Siwiejące włosy starannie były upięte tuż nad ramionami i pachniały nieznanym czasem. Zaczęła się rozmowa. Angielski Pani Dąbrowskiej był wyszukany i wytworny. Okazało się, że ojciec jednego z Holendrów pracował przed wojną w dyplomacji, a ten, jako dziecko, był z nim razem na placówce. To był właśnie taki język.

Nie zastanawiałem się długo. Skorzystałem z okazji i umówiłem się na rozmowę (*odważny!* – mówili koledzy). Wśród mrużących kotów, ziewających psiaków, zakurzonych książek i gazet rozmawialiśmy wiele godzin, przenosząc mnie w świat wielkich słów i zdarzeń...

Przed wojną pracowałam w biurach turystycznych: „Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe” i „Frankopol Intourist”. W pierwszym organizowaliśmy rejsy po portach Europy, Afryki, Ameryki. Z naszych usług korzystało wielu sławnych ludzi: pani

Żeromska, pani Jasnorzewska-Pawlikowska. W drugim biurze po 1933 roku organizowaliśmy rejsy specjalne dla niemieckich Żydów wyjeżdżających do Palestyny. Wróciłam właśnie z rejsu do norweskich fiordów. Kończyło się upalne lato. Pewnego dnia o świcie obudził mnie odgłos detonacji. Potem drugi, trzeci, następne...

Niemcy bombardowali Warszawę. Wybuchła wojna. Gdy kilka dni później radio podało, że Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę, na plac Małachowskiego wyległy tłumy, krzycząc: „Niech żyje Francja”, „Niech żyje Wielka Brytania”. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że zostaliśmy oszukani.

Niemcy zbliżyli się do Warszawy. Zaczęło się oblężenie. Na domy padały tysiące artyleryjskich pocisków i bomb. Miasto płonęło. Z radia płynęły komunikaty wojskowe, nakazujące mężczyznom w wieku poborowym wymarsz z Warszawy na wschód do punktów zbornych, gdzie miano z nich uformować oddziały. Nie chcąc zostać w Warszawie sama, ruszyłam z mężem do Siedlec. Brnęliśmy przez zatłoczone uciekinierami drogi. Konie, wozy, samochody, rowery, tłumy pieszych, wszystko przemieszane. Ludzie zrozpaczeni, przerażeni. Przez tłum usiłuje się nadaremnie przebić jakaś jednostka wojskowa. Kurz, upał, brak wody. Do tego ciągłe naloty niemieckich samolotów siekących z karabinów maszynowych po tłumach uciekinierów... Piekło! W połowie września dotarliśmy do wsi Budy koło Siedlec. Tu dowiedzieliśmy się o porozumieniu Ribbentrop-Mołotow. Znaleźliśmy się pod okupacją radziecką. Gdy pojawiła się tu Armia Czerwona, przedstawiła sobą widok wzbudzający raczej litość. Żołnierze obszarpani, brudni. Patrząc na nich, widziało się obraz nędzy i rozpacz. Było to okropne. Sowietci dali nam przepustkę uprawniającą do powrotu do Warszawy.

Tu czekały nas łapanki, uliczne egzekucje, godzina policyjna i inne tego rodzaju poczynania władz niemieckich. Uratowała nas moja dobra znajomość języka niemieckiego. Przyjęto mnie do pracy w niemieckiej Izbie Rolniczej w roli sekretarki. Wraz z mężem włączyliśmy się w działalność konspiracyjną. Dzięki antyfaszystowskiej postawie mego szefa Schultza udało mi się wiele istotnych informacji przekazać naszemu wywiadowi. Sytuacja uległa zasadniczej zmianie z chwilą zastąpienia Schultza przez zatwardziałego faszystę. Symulując chorobę, udało mi się zwolnić z tej pracy. Mój mąż związał się z Armią Krajową. Podczas powstania był dowódcą 8. kompanii batalionu imienia Kilińskiego. Wcześniej w naszym domu organizowane były tajne spotkania, szkolenia, odprawy. W podłodze mieliśmy urządzonego skład broni. Uczestniczyliśmy w wykupowaniu akowców z rąk niemieckich. Mąż zajmował się przerzutem broni i żywności do getta. Moja przyjaciółka Danka Kraśnicka zginęła, ratując Żydów. Pamiętam śmierć młodzieńczego Jerzyka Truszyńskiego, zastrzelonego przez Niemców.

Mieszkaliśmy na peryferiach Warszawy przy ulicy Słowackiego 58. Gdy ogłoszono godzinę „W” 1 sierpnia, mąż udał się na wyznaczone stanowisko w Śródmieściu, gdzie dowodził odcinkiem „Dworzec Centralny”. U nas na Żoliborzu, w domu obok, chłopcy nie wytrzymali i sami uderzyli na niemiecki patrol. Zaczęły się dni pełne lęku o przetrwanie. Pojawił się dotąd nieznan nam wróg: gtód! Tuż obok

były plantacje pomidorów, których jednak ze względu na ciągły ostrzał nie mogliśmy zbierać. Pamiętam składy sardynek, które na naszych oczach gnieciono gąsienicami niemieckich czotgów. Najgroźniejsi byli Ukraińcy, walczący po stronie Niemiec. Widziałam, jak odcinali ludziom palce, by zabrać z nich obrączki...

Po kapitulacji powstania ukrywaliśmy się w podwarszawskich lasach. Mąż dostał się do niewoli. Nasz dom był zrujnowany. Nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Szukałam kontaktu z krewnymi na wschodzie. Postanowiłam jednak wrócić do Warszawy. Dzięki szczęśliwemu trafowi dostałam pracę w Polskim Radiu w dziale nasłuchów. Jako pierwsza odebrałam wiadomość o akceptacji Rządu Tymczasowego przez państwa alianckie. Potem spotkałam znajomego z dawnych lat, który pomógł mi znaleźć jeszcze ciekawszą, i co ważniejsze, lepiej płatną pracę w brytyjskiej ambasadzie. W międzyczasie dzięki Czerwonemu Krzyżowi odnalazłam męża.

W Polsce nadchodziły lata stalinizmu. Prześladowania akowców i lęk przed aresztowaniami. Postanowiliśmy z mężem wyjechać do Szczecina, by mieć z tym spokój. Mąż dostał pracę w przemyśle ceramicznym. Często przyjeżdżał do Witnicy do cegielni i kaflarni. Ja dostałam pracę w brytyjskim konsulacie, ze względu na to agenci służb bezpieczeństwa usiłowali mnie wciągnąć do współpracy. Obiecywano prestiżowe stanowisko w żegludze lub na politechnice w zamian za donosy. Odmowę zawarowano zmuszeniem nas do opuszczenia Szczecina. Zdecydowaliśmy się z mężem na wyjazd do Witnicy. Tu staliśmy się z czasem właścicielami małego domku przy ulicy Kościuszki i tu przyszło nam zamieszkać na stałe.

★

Opowieści mych rozmówców były obszerne. Zawierały wiele pobocznych wątków. Są to dziś ludzie w podeszłym wieku, kiedy pamięć coraz bardziej zawodzi. W niektórych relacjach natrafiałem na luki. Na me naprowadzające pytania nie zawsze otrzymywałem odpowiedź na interesujący mnie temat wojennego szlaku, który zaprowadził ich do Witnicy.

Zbyt późno zabraliśmy się za dokumentowanie tego tak niezwykłego w dziejach zdarzenia, jakim była ponowna kolonizacja tych ziem przez nas (...)².

★

Wakacje. Latem, w te dni upalne i skwarne, zasypialiśmy porozrzucani fermentującą z cicha nocą w przypadkowych miejscach, wyczerpani językami słońca zaczynającymi się chyba w kuźni Hefajstosa. W głowie buzowała muzyka Badalamentiego.

² Tekst jest fragmentem większej całości pod tytułem *Drogi wojny zawiodły ich do Witnicy* i pochodzi z 1994 roku i zawarty jest w książce pod redakcją Zbigniewa Czarnucha pod tytułem *Drogi wojny zawiodły ich do Witnicy*, Biblioteczka Towarzystwa Przyjaciół Witnica, Witnica 1994, s. 78-79.

Tego samego dnia, gdy zaczynał się sezon, wyruszyliśmy nad magiczne jezioro Gross, by rozpocząć wakacyjny rytuał przejścia. Gdy późne popołudnia przechodziły w pachnące potem i lawendą wieczory, miejska aorta zaczynająca się w centrum miasta zwabiła nas do lasu. Po uprzednich odwiedzinach sklepików czynnych bez limitu zbierały się na kolejną zmianę w wieczornym i nocnym powietrzu efemeryczne wspólnoty alkoholowe rozprawiające, w hiobowym wyśitku, o istocie świata. Ich dysputy nigdy nie spisywane kończyły się nagle bez rozstrzygnięć, by rozgorzeć na nowo z jeszcze spieczonymi gorzałką gardłami już świeżym rankiem. Lato zaczynało buzować w słojach ogórkowych ustawianych na poniemieckich parapetach.

W tym czasie szkoła na wiele tygodni również zasypiała. Aż do września, gdy smak i zapach wypalanych ognisk po trupach lata świdrował nozdrza wonią nowego czasu...

*

W czerwcu 94. roku coś, co wydawało się nierozzerwalne, przestało istnieć. Rozpierzchło się. Sezon ów, gdy wszędobylski duch raczkującego i naiwnego kapitalizmu, szorując tłustym brzuchem po szczątkach realnego socjalizmu, był równocześnie czasem końca wielkiego sezonu przejścia. *Rite de passage*. Nigdy więcej nie spotkaliśmy się w takim układzie. Bez tego, co wtedy, nie byłoby tego, co było dalej, wszak bez intro nie ma rozwinięcia akcji. Czas Wielkiego Sezonu. Świat, którego nie ma.

Dr MACIEJ DUDZIAK: antropolog kultury, kulturoznawca i eseista. Specjalizuje się w problematyce tożsamości kulturowych w XX i XXI wieku, form wspólnotowych oraz kondycji kultury. Autor wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz książek, m.in. *Syberia, Poza życiem* (1999), *Pejzaże (po)granicza* (2007), *Hermeneutyka pogranicza* (2011), *Czytać Europę. Flaneur w ogrodach pogranicza* (2014). W 2019 roku ukazała się jego pierwsza powieść *Mesjasz. Rękopis zbrodni*. W 2021 roku Maciej Dudziak, bazując na notatkach Alfreda Szklarskiego, wydał 10. tom przygód z cyklu o Tomku Wilmowskim pt. *Tomek na Alasce*.

DZIEŃ I NOC

Łucja Fice

Nastaje DZIEŃ i JEST
 Doskonaty Nie można go poprawić
 Nastaje NOC Nie mam nic do powiedzenia
 Zapada i JEST
 Mogę tylko czekać na BRZASK
 Bo znowu nastanie nowy DZIEŃ
 ŚWIT i ZMIERZCH Statyczna para
 Pomiędzy nią napięcie realizacja czasem ból
 Tylko woda we mnie zyskuje MOC
 Oczekiwanie na ŚWIT i olśnienie
 To może być ostatni DZIEŃ jak u jętki jednodniowej
 Nie znam ścieżek MATRIXA ani portali Kosmosu
 Życie to oczekiwanie na NOC i marzenie o BRZASKU

Październik 2024

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarkach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*) oraz wspomnień *Druga strona grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.



CZARNA PLAMA

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Najpierw rozlałeś niebo. Wielkie, prawie na całą kartkę. Później pomyślałeś, że coś tam jeszcze być powinno. Zrobiłeś plamę. Żółtą. Żółtych plam na ogół się nie lubi i nie toleruje, ale ta plama była ładna. Dorysowałeś kilka żółtych kresek. Już miałeś słońce, twoje niebo się rozjaśniło. Wiedziałeś, że błękit w samotności nie jest ładny. Musi mu towarzyszyć żółta plama. W ten sposób zharmonizowałeś niebo i słońce. Właściwie już nic nie było potrzebne. Uparcie wpatrywałeś się w kartkę. Chwyciłeś jeszcze jedną barwę. Chciałeś dodać do tych już wylanych, ale wahałeś się. Uparcie nadal szukałeś harmonii w tym rozlanym od granic do granic kartki niebie.

I wtedy dałeś plamę. Jedną, na środku. Ale wystarczyła jedna, aby wszystko zaczęło się zmieniać. To niemożliwe, żeby pod takim błękitem wyrosła taka czarna plama? A jednak! Dzięki twojej wprawnej ręce zmieniała się w plamy i plamki. Było ich coraz więcej i więcej. Zabrakło ci kartki. Chciałeś dokleić drugą, ale odpadła. Rzuciłeś kartkę. Poszedłeś w świat szukać czarnych plam, aby je złowić dla swego rysunku.

Wychodzisz na świat spoza rysunku. I już czujesz się uwikłany w kolejny świat. Stajesz się malarzem codzienności. Szkicujesz w pamięci kartkę zawieszoną przy windzie: „Przepraszamy, awaria”. Zbiegasz schodami. Potykasz się o stopy petów rzuconych pod otwartymi paszczami pocztowych skrzynek, którym ktoś dla zabawy powyrywał zamki. Notujesz w świadomości: „Jakby krzyczały... tymi swoimi otwartymi na oścież paszczami”. A może proszą? O co? O przesyłkę z zaległym rachunkiem za prąd? O list z łańcuszkiem szczęścia? O reklamę proszku do prania z tego sklepu na rogu? Zamykasz im buzie szybkim ruchem ręki. Nie ty wyrywałeś im zamki. Nie czujesz się odpowiedzialny za ich uczucia. Nie chcesz, by ktoś zobaczył ten odruch twojej słabości. Bo przecież im współczujesz. To niemęsko, współczuć skrzynek pocztowym z pootwieranymi na oścież paszczami. Raczej powinieneś się śmiać...

Przebrzydły kot sąsiadki z parteru znów rozwalił się na progu. Otwierasz wejściowe drzwi. Głośno, z hukiem, aby go sptoszyć. Patrzy na ciebie zaskoczony. Nie rozumie, co od niego chcesz. Wydobywasz z pokładów pamięci, jak chłopczy z sąsiedztwa ganiłi go po podwórku i kamieniami zmuszali do skoków na śmietnik. Wskakiwali na klapę. Darł się wniebogłoso, a oni pokładali się ze śmiechu. Oni, nie ty, przetrzęli mu łapę cegłą. Co robiłeś wtedy? Przemykałeś po pracy przez podwórko. Padał deszcz, a oni rzucali tymi cegłami, kawałkami dachówek

z tej rudery w sąsiedztwie. Przez chwilę bałeś się, że oberwiesz, ale to nie w twoim kierunku leciały cegły. Myślisz, że taki duży mężczyzna miałby tylko dostać cegłówką od chłopców? Kamienie są na zwierzęta. Na ludzi noże i pistolety...

Gdy już nie mógł tańczy i przestał słyszeć, więc nie uciekał, a prześladowanie straciło swój sens, przygarnęła go niedołęzna sąsiadka z parteru. Teraz kot irytuje cię już tylko wtedy, gdy siedzi na progu i nic nie słyszy. Nie masz jednak odwagi go kopnąć. Patrzy na ciebie błagalnie. Nie czujesz się winny. Kot ma dzisiaj dom i jest mu dobrze. Coś trzyma cię w miejscu. Pochylasz się. Patrzysz, czy nikt cię nie obserwuje, czy nikt nie dostrzega twojej słabości. Nie ma nikogo. Tamtych chłopców też już nie ma. Wydorosleli. Teraz stoją sobie spokojnie w bramie i, nie wadząc nikomu, palą grzecznie papierosy, normalnie przeklinając, jak każdy w ich wieku, czasami rzucając pety na wycieraczki sąsiadów. Męczenie kotów nie jest już w ich guście.

Nie ma nikogo. Chwytasz kota i niesiesz pod drzwi – te na parterze. Sadasz na wycieraczce. Kot patrzy z wdzięcznością. Nie potrzebujesz takiego spojrzenia. A przecież uciekasz wzrokiem od tych oczu przepętnionych zwierzęcą wdzięcznością.

Przemierzasz podwórko. W bramie na rogu dwóch chłopaków z nosami wsadzonymi do plastikowych, wymiętych i brudnych woreczków wacha klej... Dwanaście lat – tak kwitujesz ich wiek. Pewnie wyrwali się na przerwie z pobliskiej szkoły. Interpretujesz doskonale. Wiesz, skąd się wzięli i co tu robią. Przechodzisz obojętnie. Dwanaście lat. Może mniej? Przystajesz, obracasz się. Chłopców już nie ma w bramie. Wystarczyło, że się obróciłeś. Zwróciłeś na nich uwagę. Zdeptane worki leżą jak wyrzut sumienia. Podchodzisz, depczesz je, kopiesz z całym siłą. Chcesz wyrzucić je z tej bramy i z twojej świadomości. Nie możesz. Wiatr zabiera je spod twoich nóg i porywa przed tobą. Znowu leżą pod dachem bramy, na której ktoś namalował obok swastyki duże serce z napisem: „J.K. kocha A.B.” W cieniu tej bramy ktoś jednak kogoś pokochał. Chłopcy lat dwanaście – z plastikowymi workami przy nosach – przestają cokolwiek znaczyć w cieniu koślawego serduszka wyrysowanego sprayem na murze.

Tuż za bramą stajesz się niewolnikiem ulicy. Preraźliwe tempo gna ci pod nogi wszystkie samochody świata. Przestajesz być odgradzony myślami od rzeczywistości. Musisz w jednej chwili stać się czujny jak zaszczute zwierzę. Tak warczy, sapie, wrzeszczy, kottuje się i przewala – ulica.

Docierasz na przystanek. Niczym dywan, ktoś wysypał przed tobą łupiny słonecznika. Przez moment masz jakieś niejasne skojarzenia z łuskami nabożów, abstrakcyjne i dziwne skojarzenia, przed którymi myśli szybko uciekają.

Na szarej ławeczce pod wiatą – rozrzucone kawałki chleba. Wokół krzątają się tłuste wróble, ale tak blisko nie mają odwagi podejść. Nie są głuche jak kot i zbyt dobrze rozumieją rzeczywistość. Zauważasz, że kawałki chleba zostały, jak przez złą macochę Kopciuszka, zmieszane z odłamkami szkielec, które jeszcze wczoraj stanowiły jedną ze ścian przystankowej wiaty. Ktoś kamieniem lub kopniakiem

zamienił ją w okruchy. Może wyłącznie po to, aby nakarmić wiecznie głodne wróble? Gdyby ptaki żywiły się okruchami szkła, zżarłyby wszystkie wiaty w okolicy, w świecie. Dziobami rozwaląby szkło i drobity na kruszynki. Ptaki nie żywią się szkłem. Gdzieś pod tłustym brzuszkiem bije małe ptasie serduszko. Bicia tego serduszka stąd nie dostrzeżesz...

Nie czujesz się winny. Ale nie siadasz wśród tych okruchów. I wróble jakoś wcale się ciebie nie boją.

Do przystanku podchodzi pijak. Jak inni odsuwasz się z obrzydzeniem. Nerwowo spoglądasz na zegarek. Wszyscy nerwowo spoglądają na swoje zegarki. Każdy ma bowiem swój własny. Miliony zegarków świata odmierzają czas właśnie w tej chwili i właśnie na tym przystanku. Każdemu osobno tyka jego czas na przegubie dłoni niczym puls.

Pijak wybrał ciebie i twój prywatny zegarek. „Panie, która godzina?”. „Nie mam zegarka” – odpowiadasz poirytowany. Wiesz, że do pijaków zawsze trzeba mówić w taki sposób. Człowiek musi być poirytowany i zły z powodu jego podejścia. Ten dodatkowo chciał wykraść twój czas.

Podchodzi do jakiejś kobiety. Próbuje ją schwycić za rękę. Kobieta nerwowo się odsuwa. Pijak idzie za nią. Nagle na tym przystanku jest tysiąc osób. Wszyscy obserwujecie kątem oka przebieg wydarzeń. On jest coraz bardziej natrączywy. Ona też nie ma zegarka. On mamrocze coś o Polakach i kulturze. Ty obserwujesz. Powraca nie wiadomo dlaczego obraz koślawego serca w bramie.

Podjeżdża autobus. Wskakujesz tylnymi drzwiami. Kobieta też wsiada. Pijak zmierza ku tylnym drzwiom. Kierowca zamyka je w porę. Oddychasz z ulgą. Po raz pierwszy myślisz o pijaku – „człowiek”. Obracasz się. „Człowiek” stoi na przystanku i wygraża pięściami.

Nie czujesz się winny. Ale spokój nie wraca. Nie odezwałeś się wtedy i teraz też nic nie mówisz. Nawet w duszy. Żadnego, choćby wewnętrznego monologu. Pustka. Nic w twojej duszy.

Ktoś nagle zaczyna bombardować cię słowami. Po raz kolejny skojarzenie z wojną. Słuchasz. Rozmowa dotyczy wczorajszego meczu, randki, sprawdzianu z historii, ktoś kupić żelazko za pół ceny. Strzępy rozmów są gdzieś koło ciebie, poza tobą, ale uderzają, bo odczuwasz ich ból. Przypominasz sobie słowa pijaka o Polakach i kulturze. Jakby czas nagle zatrzymał się tu, w tym autobusie, jakbyście odgrywali jakąś scenę z historii, którą kiedyś włączą, być może, do podręczników, bez cenzury, z wulgaryzmami, które stanowią o tej kulturze, waszej kulturze. Patrzysz, czy nie ma tu kogoś, kto nie mówiłby po polsku. Nie, sami swoi, można kłać do woli i nikt nie będzie miał tego za złe. Budzi się w tobie zazdrość do głuchego kota i do staruszki, która siedzi nieopodal, patrząc na ludzi z uwielbieniem. Kocha tych ludzi, bo ich nie słyszy. Widzi tylko, że się uśmiechają. Staruszce wystarczy do szczęścia to, że siedzi i że wszyscy się do siebie uśmiechają.

Silnik miarowo wystukuje rytm rozmowom. Monotonnie, jednostajnie popadasz w stan duchowej śpiączki. Wokół dzwonki telefonów komórkowych wygrywają melodie, które są dla ciebie kołysankami. Nagle znasz jedną z nich bardziej niż znasz inne, rozlegające się wokół raz po raz. *We are the world, we are the children...* *Jesteśmy światem, jesteśmy dziećmi...* Kto wgrał sobie taką dziwną melodię do telefonu komórkowego?

Autobus zatrzymuje się na przystanku. Wrzask. Jakiś nagły ruch, harmider coraz większy. Dostrzegasz przepychającego się mężczyznę. Trzyma torebkę jakiejś kobiety. Kobieta krzyczy. Schodzisz z drogi złodziejowi. Wybiega, ginie w tłumie. Zrozumiałeś. Nie czujesz się winny. Ludzie komentują zdarzenie. Kobieta jest zdenerwowana, płacze. Możesz być świadkiem, jeszcze masz szansę pomóc. Nie chcesz. Wsiadasz. To nic, że to nie ten właściwy przystanek. Ten, na którym się znalazłeś, jest jak wielki wyrzut sumienia. Stajesz obok zniszczonej ławeczki i przewróconego śmietnika. Nie opuszcza cię melodia. *We are the world, we are the children...*

Odsuwasz się z niesmakiem. Podchodzi jakiś obdartus i grzebie kijem w tych śmieciach. Rozgrzebuje jakieś skórki od banana, jakieś plastikowe butelki. Chowa puszki po piwie do brudnego worka i wygrzebuje pety. Jeszcze raz przeszukuje śmietnik. Wyrzuca resztę zawartości. Za nim lezie wychudzony pies. Wzorem pana grzebie w śmieciach. Gdy kończą poszukiwania, pies podnosi łapę i z psią satysfakcją znaczy teren. Pies ma już swój śmietnik.

Bezmyślnie obserwujesz zdarzenie. Odprowadzasz wzrokiem bezdomnego. Nie czujesz się winny. *We are the world, we are the children...*

Bezwiednie ruszasz przed siebie. Już nie chcesz żadnego autobusu, który mógłby odwieźć cię daleko od czasu i od problemów. Już teraz chcesz tylko pójść. Dokąd? Niechaj poprowadzą cię nogi i twój instynkt, bo przecież musisz mieć swój instynkt w tym świecie. Czujesz się tak, jakbyś uciekał. Przecież nie okradłeś nikogo, nie upiłeś się, nie wachałeś kleju w bramie, nie przeklinałeś w autobusie. Wymieniasz w myślach grzechy, których nie popełniłeś. Nie czujesz się winny.

Wśród myśli ucieka hałas miejskiej ulicy. Spoglądasz w niebo. Czarne. Parawan czerni ostania przed tym prawdziwym niebem. Co chciałbyś dostrzec? Naiwnie, po dziecięcemu rozlany błękit, a może kilka gwiazdeczek, które mrugałyby do ciebie przyjaźnie? Rogalik księżycy, śmiesznie zakręcony i złudnie błyszczący?

Czy ty jeszcze tak w niebo spoglądasz? Kiedy ostatni raz tak w niebo patrzyłeś? Gdzie zgubiłeś tę swoją stódką naiwność?

Wtedy, gdy Adaś ze starszaków regularnie, każdego dnia przychodził do twojej grupy, by okładać cię klockami? Wtedy, gdy starsi koledzy zabrali ci i zniszczyli twój nowy samochódzik? A może wtedy, gdy krzyczeli, że jesteś tchórzem, bo nie chciałeś bić się z kolegą? Może jednak wtedy, kiedy po raz pierwszy okłamałeś mamę? Może swą naiwność gubiłeś powoli – gdy trzeba było wstawić się za starszym kolegą, a ty tego nie robiłeś, gdy trzeba było komuś pomóc, a ty uciekałeś i chowałeś się, by nie było na ciebie?

Jesteś uczestnikiem świata i jego odbiorcą. Nie kreujesz go, bo nie masz siły przebicia – mówisz. Co ci daje twoja świadomość, że odróżniasz dobro od zła? Że wróbił szkłem nie nafaszerujesz, a sąsiadce pod drzwi położył głuche go kota? Nie przewrócisz śmietnika i nie pobijesz wiaty na przystanku. Nie zapalisz w bramie i nie wymalujesz sprayem swych miłosnych deklaracji. Myślisz, że uwolnisz świat od zła i przemocy? Masz jeszcze szansę nigdy nie rozpętać wojny (w szczególności światowej) i nikogo w swym życiu nie zabić.

Tymczasem trwa noc w najlepsze. Zauważyłeś, że przeważnie trwa noc, nawet w dzień? Jak to się dzieje, że inne pory dnia przestały istnieć? Ciemność nie narodzi dobra. Nie ma szans. Poszukaj więc dnia. Spróbuj oddać dzień swej epoce, tej epoce, w której przyszło ci żyć. Wiesz już, na czym polega twój błąd? Gdy rozlałeś niebo, nie stworzyłeś sobie tęczy. Każdy powinien dysponować prywatną tęczą. Gdy jest noc, rozwinąłby ją sobie, by przegonić ciemności. Taką tęczę często mają dzieci. Rozwijają ją wtedy, gdy bardzo się boją i od razu strach ucieka. Strach jest jak tłusty mały wróbel – bije mu serce szybko, bojaźliwie, przeważnie udaje mu się uciec, ale bardzo się męczy.

Zauważyłeś tęczę? Już nawet się nie boisz? Wstąp sobie na tęczę. Idziesz? Ale trzymaj się mocno. To nie jest tak, jak z windą. Gdy spadniesz, nie zrobisz sobie krzywdy, ale coś bezpowrotnie utracisz. Stąd widać dachy najwyższych domów w mieście. Nigdy nie sięgałeś tak wysoko? Spójrz, jakie są podobne! Złożone z geometrycznych figur, z kwadratów i prostokątów – wyglądają jak wielki zbiór z wetkniętymi wektorami anten. Te satelitarne niczym okręgi odbijają się od prostokątów. Ładne, prawda? Pierwszy raz zachwycasz się matematyką. A wiesz, że pod tymi dachami żyją jacyś ludzie? Idź jeszcze dalej! Idź jeszcze wyżej!

Widzisz? Jesteś ponad swoim domem. Ta mała krescinka – to kot sąsiadki. Znowu siedzi na progu. Widzisz, jaki z tej perspektywy jest bezbronny i malutki? Ktoś wchodzi do twojej bramy! Odczuwasz niepokój. Nie wychodzi. Myślisz, że maluje kolejne serce? Uśmiechasz się. A może jego dziełem będzie kolejna swastyka? Nie zbiegaj do niego, nie rezygnuj! Widzisz? To przecież tylko twój sąsiad z gazetą w garści. Zobacz! Zabiera kota. Na pewno zaniesie go na wycieraczkę sąsiadki. Nie dostrzeżesz tego, ale on też rozgląda się sponoszony, jak ty. Nie chce, aby go ktoś zobaczył. Też wstydzi się swojej stałości. Ludzkiego odruchu.

Widzisz? Tam, za bramą jest twój przystanek. Ludzie jak mróweczki. Co może być złego w ludziach, jeśli są tacy mali? Przecież nic nie mogą. Śmiesznie przebiegają nóżkami jak małe żuczki. Dostrzegasz ruch, nieustanny ruch, nikt nawet na moment nie przystaje, wszyscy ciągle chodzą. Ruszają główkami na prawo i na lewo niczym pacynki sterowane czyjąś dłońią. To ręka strachu każe im być czujnym. Jak zaszczute zwierzątka – w obawie przed pijakiem, samochodem, złodziejem, chłopcami w kapturach, którzy o zmroku zmieniają się w chłopaków, a nocą w bestie. Jesteś ponad nimi. Teraz się nie bój.

Chciałbyś się tak nie bać już cały czas? Chciałbyś być wśród nich bez swego towarzysza – strachu, najwierniejszego towarzysza? Podnosisz głowę. Tak, ponad ciemnością jest twoje niebo. Takie błękitne, jakim chciałeś je widzieć. Jednak istnieje. Że z ziemi go nie widać? Nie dostrzegałeś, bo stworzyliście wieczną ciemność. Lubujecie się w parawanach i roletach, którymi wszystko przysłaniacie. Uwielbiacie parkany i mury, którymi grodzicie się od świata. Zastaniacie przy okazji też prawdziwe niebo.

Widzisz, jaki z dołu odbija się błękit? Ziemia jest błękitna. Nie czarna, nie szara, nie brązowa! Stąd widać tylko błękit. Nieśmiało wyciągasz coś z kieszeni... Po co ci notes? Chcesz opisać swoją planetę? Z tęczy przekłamasz rzeczywistość. Lepiej nie zapisuj. Jeszcze masz wrażenia i potrafisz wspominać. Zapamiętasz, by nie zapomnieć. To najwspanialszy opis świata, do którego jesteś teraz zdolny. Zanotuj w pamięci.

Masz oczy pełne zachwytu. Pod ciemnym parawanem zła, strachu i przemocy nie dostrzegałeś tropikalnych gajów, złotych wydm, malinowych łąk. To chciał zobaczyć pijak i chłopczy, którzy w bramie wachali klej, to chciał kupić sobie złodziej za ukradzione pieniądze. Tak świat się broni przed złem. Broni się pięknem, którego nie widzicie. Możecie chować się pod kapturami, pić, palić, przeklinać, rozbijać wiaty na przystankach całego świata, ale i tak ten świat nie zacznie być brzydki. Masz tego świadomość, gdy nerwowo bębnisz palcami po plastikowej, sztucznej powierzchni globusa, obracając kulą ziemską na prawo i na lewo, coraz szybciej i coraz szybciej, próbując wybić świat z orbity. Ujarmiasz globus, ale nie oswojasz świata. Choćbyś nawet przez moment poczuł się panem kuli ziemskiej zakłętej w globusie, nie masz szans jej zniszczyć!

Człowieku, twoja tęcza się kończy. Zejdź teraz w prawdziwy świat z tego spaceru. Zobacz, to jeszcze nie wieczór i popatrz, jak wszędzie jest kolorowo.

Podążasz znajomą ulicą. Ustawiony porządnie śmietnik uśmiecha się do ciebie szeroko rozdziawioną, nieco pustą buzią. Przystankowa wiata ma nową ścianę: lśniącą, przezroczystą, która nigdy nie zostanie pobita. Obok, nad białymi okruskami bułki, przekrzykując się, wesoło pracują wróble. Szybko potykają kęsy i w zachwycie nad światem jest ten ich pośpiech. Do przystanku podchodzi pani z torebką w ręku. Uśmiechnięta jak pogodne niebo. Ktoś pyta ją o godzinę. Odpowiada wesoło.

Wchodzisz przez bramę. Dozorca właśnie kończy sprzątać. Nie ma namalowanej na murze swastyki. Dozorca pozdrawia cię ruchem ręki. Miottą zagarnia duże czerwone serce z papieru, które wiatr kradnie mu nagle i wlece na środek podwórka. Chwilę bawi się nim, podrzuca i niesie dalej – na próg domu. Rzuca pod pyszczek rozleniwionemu kotu, który przeciąga się, zdumiony. Łapą dotyka serca, przytrzymuje jak myszkę, ale wiatr je mu wyrывa. Szarpie, przerywa na dwie części. Jedna zostaje w kociej łapie. Druga ląduje na twoim bucie. Podnosisz. Coś

jest z tytu napisane. Obracasz. „J.K. koc...” Przy kociej łapie leży: „...ha A.B.” Kot wbiega przed tobą na schody. Sąsiadka otwiera drzwi i chwytą go na ręce. Mówisz: „Dzień dobry!”. Odpowiada ci, wręczając uśmiech jak serce. Na wycieraczkę zostaje pół serduszka. Zabierasz, aby skleić w całość rozerwane uczucia starte z wejściowej bramy. Idziesz do swojego mieszkania, które jest jeszcze bliżej nieba...

Najpierw rozlałeś niebo. Wielkie, prawie na całą kartkę. Później pomyślałeś, że masz już taki rysunek.

A jednak po raz drugi rozlałeś niebo. Otworzyłeś wszystkie farby, wyjąłeś wszystkie pędzle, poukładałeś i posklejałeś w logiczną całość wszystkie kartki.

Narysowałeś tęczę na rozlanym błękitcie nieba. Zawahałeś się. A jednak narysowałeś czarną plamę. Już wiesz, że tęcza ją zwalczy, ale ona musi być, bo przecież jest tam, gdzieś, daleko w świecie czarna plama wiecznej nocy, z którą ty będziesz już teraz walczył.

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego kota teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzyczanka na żyrandolu* (2023).



Aneta Długołęcka

najgorsza choroba świata

łąpiesz ją nagle
 jak katar
 na spacerze
 w sklepie
 w teatrze
 łamie szare komórki
 efektem głupawy uśmiech
 nogi jak z waty
 lekkie uniesienie
 w kierunku nieba
 czy to normalne?
 widzieć tylko jedno
 czekać na nieliczne chwile
 mało jesz
 mało śpisz
 a żyjesz
 to należałoby szczepić
 wyleczyć potem trudno

m...

przychodzi bez zaproszenia
 zmienia oczy uszy
 skóra ciągle naelektryzowana
 uzależnia bardziej
 niż stodycze czy papierosy
 działa jak narkotyki
 początek to pełen odlot
 bez pasów bezpieczeństwa
 z biletem w jedną stronę
 im dłużej trwa
 tym mniej ciekawa
 skóra stygnie
 oczy jak w nowych okularach
 łąpią wszystkie szczegóły
 uszy mniej słyszą
 coraz więcej efektów ubocznych
 ostatecznie jest
 a jakby znika

ANETA DŁUGOŁĘCKA: poetka i fotografka. Gorzowianka z wykształceniem ekonomicznym. Związana z RSTK i nieformalną grupą fotograficzną fCzasowice. Debiutowała w 2011 roku w „Pegazie Lubuskim”. W 2014 roku, w ramach *Portfela z wierszami Poetów Okrągłego Stołu*, ukazał się jej tomik *Historia jednej znajomości*. W tym roku w Bibliotece Pegaza Lubuskiego wydała tomik poezji *Pierwszy tatuaż*.



KANAREK

Hanna Sikorska

Potrzebując współtętnienia, stałem się od niego zależny.
Pragnąc przestrzeni, żyłem nadzieją lepszych chwil.
Czekając na miłość, straciłem poczucie czasu.
Szukając ucieczki, dni doczekały lat.

I nadal nie przestaję wierzyć w swej codziennej starości na szczęście mych ostatnich chwil.

HANNA SIKORSKA: uczennica II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Skłodowskiej-Curie w Gorzowie. Jej teksty ukazują się na łamach „Pegaza Lubuskiego”. Znalazły się także w antologii *Padok Pegaza 2023*. Interesuje się też tańcem, sztuką, szydełkowaniem i grą na pianinie.

UŻYTKOWNIK, DO KTÓREGO DZWONISZ, CZERPIE RADOŚĆ Z WIOSNY...

Tobiasz Cichoń

Ja dziś wiosnę chcę zobaczyć
I wstuchiwać się w ptaków śpiew.
Odrodzoną widzieć zieleń,
W parku Róż, w koronach drzew.

Świeżym powietrzem się zachłystnąć,
Tonąć w kwiatach dzisiaj chcę.
Pływać w bie, co słodko pachnie,
Łez nie trzymać, puścić je!

Pójsz na spacer, tam lub tutaj,
Obojętnie byle iść
I na błoniach sobie usiąść,
Patrzeć w wodę, z Warty drwić.

Z chmur chcę uformować kształty,
Jakie tylko wyśnił radę dam.
Na klarnecie zagrać bzdury,
Wyjść na ogród, gonić wiatr.

Póki wiosna, wezmę sobie
Urlop od codziennych trosk.
Wyjdę dzisiaj, wrócę zimą,
Bo następną okazja dopiero za rok.

TOBIASZ CICHON: uczy się w Katolickim Liceum im. św. Tomasza z Akwinu w Gorzowie. Ukończył Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia na klarnecie i przez trzy lata grał w Gorzowskiej Orkiestrze Dętej. Interesuje się historią wojskowości, szczególnie okresem od 1947 do 1991 roku („zimna wojna”). Jego teksty ukazały się w antologii *Padok Pegaza 2023*. Lubi czytać i podróżować.

OLŚNIENIA

Ferdynand Głodzik

W adwencie krótko przed świętami
pozostawiamy w chacie Tatę
i z bagażami, walizami
ruszamy hen na Podkarpacie.

Długa i trudna to wyprawa
częste przesiadki, zimne dworce
cała rodzina jest ciekawa
jak nam się żyje w Wielkopolsce
Okna posrebrzył mroźny grudzień
tłumów podróżnych nikt nie zliczy
zaspani i w podróżnym trudzie
rankiem wjeżdżamy do Dębicy.

Już w Chorzelowie przed południem
Na podróżniczym naszym szlaku
wita nas ciotka naszej mamy
W grubych walonkach i serdaku.

Trwa przedświąteczna krzątania
gasną ostatnie słońca blaski
grudniowa bezlitosna zima
zapala w niebie pierwsze gwiazdki.

Czuć zapach potraw, brzmi kolęda
wszystko rodzinne, takie bliskie
żołnierz przyjechał już na święta
stawiają mu pierogów miskę.

Świątecznych blasków brzmia kolory
od niskiej ziemi po poddasze
Nigdzie nie trafił do tej pory
by święta były takie nasze.

Gorzów Wielkopolski, 19.10.2024

FERDYNAND GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księgo imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.

O „PEGAZIE LUBUSKIM” OPowieść BARDZO OSOBISTA

Krystyna Kamińska

Przychodzi Szmidt do Jaworskiego

Edward Jaworski objął funkcję dyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej 15 listopada 2002 roku. Wkrótce potem zadzwonił do niego Ireneusz Krzysztof Szmidt, wtedy szef Gorzowskiego Klubu Literackiego Związku Literatów Polskich, z prośbą o spotkanie. Co prawda dyrektor nie podał dokładnej daty dwóch spotkań, jakie panowie odbyli, ale tak je opisał we wspomnieniu zamieszczonym w książce *Dodawał nam skrzydeł*:

Irek chciał, abym wyraził zgodę na organizację spotkań z autorami i na wydawanie pisma literackiego. (...) Co do pisma, które zaproponował, miałem obawy, bo wydawanie jego wiązało się z kosztami. Jeszcze nie wiedziałem, czy mogę się deklorować i na jakich zasadach będzie ono wydawane. A był to czas, gdy gazety wybuchały jedna po drugiej i równie szybko znikwały. Nie chciałem zaczynać czegoś, co z góry miałyby krótki żywot. Już podczas drugiego spotkania ustaliliśmy, że będzie to pismo o charakterze warsztatowym, w którym będą drukowane nowe, niepublikowane dotąd utwory naszych autorów. Planowaliśmy, że z czasem uzbiera się ich wystarczająca ilość na tom wierszy lub opowiadań. Irek zaproponował tytuł „Pegaz Gorzowski”. Ja przekonałem go, że lepiej by było dać w tytule „Lubuski”, aby swoim zasięgiem objął on także Zieloną Górę. Z Urzędu Marszałkowskiego w Zielonej Górze będą na niego pieniądze, więc i my dajmy szansę autorom stamtąd. Zgodził się.

Ustalono wtedy, że pismo będzie miało dwóch wydawców: Bibliotekę oraz Klub Literacki (po ukonstytuowaniu się – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim Związku Literatów Polskich), że redaktorem naczelnym będzie Ireneusz K. Szmidt, a sekretarzem redakcji i osobą odpowiedzialną za pismo z ramienia Biblioteki Danuta Zielińska, kierowniczką Działu Informacyjno-Bibliograficznego. Winiętę pisma z Pegazem o dwóch skrzydłach przygotowała Romana Kaszczyc, plastyczka z Barlinka.

Tu muszę dodać, że Ireneusz Krzysztof Szmidt był moim mężem, pismo powstało w naszym domu i choć zawsze to Irek decydował o jego zawartości, na bieżąco obserwowałam proces powstawania kolejnych numerów. Wiem także, jaką wagę przywiązywał do każdego numeru i każdej książki, ile pracy wkładał w przygotowanie ich do druku, wiem, że przede wszystkim „Pegaza” traktował jak swoje najmłodsze dziecko. Nie może więc dziwić, że i moja opowieść o „Pegazie Lubuskim” będzie miała bardzo osobisty charakter.

Numer pierwszy

Pierwszy numer „Pegaza Lubuskiego” ukazał się w maju 2003 roku, bez daty dziennej. Otwiera go mój artykuł pt. *Pisarze gorzowscy*, a na prawej szpalcie, wyróżnionej ciemniejszym rastrem, Ireneusz K. Szmidt entuzjastycznie ogłosił: *Mamy Pegaza!* Ton samego artykułu jest znacznie spokojniejszy. Poniżej znaczne fragmenty:

Podajemy kolejną w Gorzowie próbę osiedlenia uskrzydłonego rumaka, jedyne go skutecznego środka lokomocji dla tych, co wybierają się na Parnas. Nie ma na świecie środowiska literackiego, które nie marzyłoby o własnym piśmie. Tam, gdzie pisarze mogą swoje nowe utwory ujrzyć w druku, zanim pojawią się one w postaci książki, jest szansa na ich doskonalenie, bo w piśmie często stają się przedmiotem dyskusji, uwagi i polemik krytycznych. Wokół pisma gromadzą się autorzy i czytelnicy ich późniejszych książek. Sta-je się ono stymulatorem życia literackiego danego środowiska określonego granicami kraju, regionu czy miasta.

Dalej czytelnik dowiaduje się, że w północnej części województwa lubuskiego mieszka 46 autorów przynajmniej jednej wydanej książki, w tym 14 kandydatów lub członków Związku Literatów Polskich. Tymczasem w pismach lokalnych nie ma miejsca na literaturę piękną. Jedynie Radio Zachód promuje literatów, ale jest to medium najbardziej ulotne.

Wreszcie autor stawia podstawowe pytanie i sam na nie odpowiada:

Czy nasz gorzowski „Pegaz” (...) ma szansę stać się tak długo oczekiwany-m pismem literackim? Czas pokaże, czy starczy nam siły, aktywności i tekstów gotowych do druku.

I dalej o pierwszym numerze:

Ten numer jest jeszcze daleki od formuły prawdziwego periodyku literackiego. To zaledwie arkusz pomyślany jako program wspólnego wieczoru autorskiego gorzowskich członków i kandydatów ZLP, wydany w maksymalnej skromności nakładu i szaty edytorskiej. (...) W następnych numerach będziemy poszerzać krąg autorów i form literackich. Już dziś zapraszamy na kolejne wspólne spotkania pisarzy gorzowskich, którym co miesiąc będzie towarzyszyła premiera nowego wydania „Pegaza”.

Pierwszy numer rzeczywiście jest bardzo skromny, liczy tylko 10 stron formatu A4. Zawiera wzmiankowany wyżej artykuł o pisarzach gorzowskich i tworzonej przez nich literaturze, dwie recenzje tomików literackich oraz wizytówki 12 członków Oddziału ZLP w Zielonej Górze, który wówczas obejmował Gorzów. Swoje prezentacje tu mają (w układzie alfabetycznym): Jan Gross, Roman Habdas, Ludwik Lipnicki, Agnieszka Moskaluk, Witold Niedźwiecki, Stanisława Plewińska, Maria Przybylak, Aldona Robak, Ireneusz Krzysztof Szmidt, Tadeusz

Szyfer, Barbara Trawińska i Joanna Ziemińska-Kurek. Nie uwzględniono Marka Grewlinga, który był członkiem poznańskiego Oddziału ZLP i Bronisława Słomki – członka szczecińskiego Oddziału.

W numerze jedynym wyjątkiem są trzy wiersze Agnieszki Moroz z nadtytułem „Debiut” i biogramem: „Lat 15, uczennica Gimnazjum nr 5”. Dodano jeszcze wykaz nagród, jakie dotąd zdobyła w konkursach literackich. Już tu widać, że I. K. Szmidt chętnie utatwiał debiuty.

Numer jest rzeczywiście bardzo skromny, a do tego raczej nieudolnie złożony. Ale jest!

Pierwsza promocja

Musiła odbyć się w pierwszych dniach maja 2003 roku, skoro w numerze 19. „Ziemi Gorzowskiej” z 8 maja Agnieszka Moskaluk już zamieściła relację ze spotkania Klubu Literackiego, podczas którego odbyła się promocja pierwszego numeru „Pegaza Lubuskiego”.

Autorka artykułu *Poskramianie Pegaza* wyraźnie podziela niepewność redaktora naczelnego: *czy starczy nam siły, aktywności i tekstów gotowych do druku?*

Dodaje od siebie:

Już podczas przygotowania pierwszego numeru „Pegaza” przekonał się (red. nac.) jak trudno „zrobić coś” dla środowiska, kiedy ono samo robić nic nie chce: nie przychodzi na umówione spotkania, nie przynosi tekstów do druku, a jak się już na to zdecyduje, to po czasie. Czyżby łatwiej było poskrzycić skrzydlatego Pegaza niż gorzowskie środowisko literackie?

Ten i wszystkie następne numery „Pegaza Lubuskiego” rozdawane były zainteresowanym nieodpłatnie.

Numer 2 i 88 następnych

Najprawdopodobniej w trakcie planowania pisma dwaj wydawcy nie uzgodnili podstawowego warunku: częstotliwości ukazywania się pisma. Ireneusz K. Szmidt miał nadzieję na miesięcznik, Edward Jaworski chyba nie planował aż takiej częstotliwości. Drugi numer ukazał się w czerwcu 2003 roku, ale trzeci dopiero we wrześniu. Tę odległość czasową można tłumaczyć przerwą wakacyjną, ale czwarty numer wyszedł w listopadzie, a piąty i szósty razem mają w dacie miesiące stycznia/kwiecień 2004 roku. W numerze nie podano przyczyny takiego przesunięcia, ale od tej pory pismo ustabilizowało się jako kwartalnik ukazujący się w końcu każdego kwartału. Numery 2-4 mają po 16 stron, a od numeru 5/6 po 24 strony, tylko czasami przekraczając tę objętość do 28 stron.

Już drugi numer, zdecydowanie profesjonalnie zaprogramowany i złożony, ma układ, jaki będzie obowiązywał do 88 numeru. Na pierwszej stronie artykuł

wstępny redaktora naczelnego na aktualny temat bliski literaturze lub – szerzej – kulturze i problemom społecznym. Z czasem autorami wstępniaków będą Marek Grewling i Jerzy Alski, a naczelny ograniczy się do jednokolumnowego komentarza na drugiej stronie. Na pierwszej także wiersz, potem dojdzie ustawiona poziomo sygnałna informacja o zawartości numeru.

Na następnych stronach własna twórczość literacka, a więc wiersze i fragmenty prozy autorów związanych miejscem zamieszkania z Gorzowem lub okolicami. Wszyscy autorzy przedstawiani byli zdjęciem i notką biograficzną, w której podkreślano dorobek literacki.

W każdym numerze były omówienia wydanych ostatnio książek autorów związanych z regionem. Najczęściej ich autorką byłam ja, ale nie tylko. Każdy mógł zgłosić swoją recenzję, tyle że chętnych było mało.

Redakcja „Pegaza” zawsze była otwarta na opracowania krytyczne lub historyczne dotyczące literatury tworzonej w naszym regionie. Redaktor naczelny zachęcał potencjalnych autorów, mobilizował studentów polonistyki z Akademii im. Jakuba z Paradyża (wcześniej PWSZ), ale bez większych efektów. Jak się okazało, najwięcej takich opracowań wyszło spod piór autorów zielonogórskich: Roberta Rudiaka i Czesława Sobkowiaka, który w ostatnich latach miał w „Pegazie” stały felieton.

Na końcowych stronach każdego numeru prezentowane było życie literackie regionu z omówieniem zdarzeń przede wszystkim w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta, a także w innych instytucjach lub stowarzyszeniach. Zawsze odnotowywano aktywność naszych literatów, udział w imprezach o szerszym zasięgu, nagrody, obecność w publikacjach itp. W ostatnich latach informacje te rozszerzono o zdarzenia z innych dziedzin kultury. *Wiadomości kulturalne* przygotowywała Ewa Rutkowska.

Ostatnią stroną każdego numeru oddawano satyrykom. A że mieliśmy (i nadal mamy) ich sporo, często fraszki Jana Grossa, Tadeusza Szyfera czy wiersze Ferdynanda Głódzika lub humoreski Jacka Laudy przenoszone były na wcześniejsze strony.

Irek chętnie korzystał ze zdjęć, choć czasami było dla nich bardzo mało miejsca. Dla redaktora zdjęcie miało funkcję przede wszystkim ilustracyjną. Najczęściej korzystał ze zdjęć Kazimierza Ligockiego, który je robił dla Biblioteki, a także często sam fotografował wydarzenia z myślą o „Pegazie”. Chętnie przyjmował rysunki lub grafiki. Tu czołowym autorem był Zbigniew Olchowik, także pracownik Biblioteki, ale również zapraszał innych plastyków. Bardzo lubił humorystyczne rysunki Jacka Laudy, tyle że twórca był bardzo oszczędny.

Czego nie widać?

Procesu przygotowywania numerów „Pegaza” nie widzieli ani autorzy, ani czytelnicy pisma, ale ja tkwiłam w jego środku, więc mogę wyjaśnić, jak tworzony

był każdy numer. Dla narodzin najważniejsza była Danuta Zielińska, która zaraz po promocji poprzedniego wyznaczała termin promocji następnego. Trzeba było zarezerwować salę, a pomieszczenia biblioteki są często udostępniane innym, więc planowanie jest konieczne. Natomiast dla Irka planowanie i punktualność to były najmniej istotne cechy, dobrze więc, że ktoś za niego organizował proces przygotowawczy.

Po promocji poprzedniego numeru Irek zakładał w swoim laptopie nowy katalog, do którego przenosił niewykorzystane teksty. Pracę przy następnym numerze rozpoczynał od telefonów do autorów, z którymi wcześniej nie miał kontaktu, wypytywał, co napisali, a jeśli nic – to mobilizował do pisania i zapraszał na łamy. Z czasem wokół pisma skupiło się grono statych autorów, a Irek krążył systematycznie powiększał, głównie spośród Poetów Okrągłego Stołu, czyli uczestników warsztatów literackich, jakie prowadził w Grodzkim Domu Kultury. W ostatnich latach podobne warsztaty prowadził w Uniwersytecie Trzeciego Wieku, gdzie również znalazł autorów ciekawych wypowiedzi literackich. Miał nawet plan zrobienia specjalnego numeru „Pegaza w Słusznym Wieku”.

Ireneusz przywiązywał dużą wagę do debiutów. Starał się w każdym numerze prezentować nowego autora, a nawet kilku, np. z jednej szkoły. Zapraszał ich na warsztaty, śledził rozwój, a gdy zebrało się wystarczająco dużo utworów, wydawał tomik wierszy lub prozy. Wiedział, że właśnie debiut i pierwsza książka to najtrudniejsze kroki dla przyszłego literata, dlatego ułatwiał ich stawianie.

Mniej więcej na miesiąc przed promocją miał zgromadzony lub przyobiecany materiał. Teraz nadchodził czas, podczas którego zajmował się wyłącznie „Pegazem”. Przy składzie pracował z Danielem Bestą, grafikiem od lat związanym najpierw z naszym wydawnictwem, a potem z przygotowywanymi przez nas publikacjami. Następnie numer w formie PDF przesyłany był do biblioteki, gdzie Danuta Zielińska i Anna Sokółka przeprowadzały wnikliwą korektę. Nie jest tajemnicą, że panie miały sporo roboty, bo nawet literaci robią błędy, a naczelnemu – jak wszystkim – coraz bardziej psuły się oczy. Ostatnim tekstem, jaki wchodził do numeru, był felieton naczelnego. Irek tak bardzo zajmował się tekstami innych autorów, że sam pisał na chwilę przed drugą korektą.

Zazwyczaj drukowanych było 300 egzemplarzy czarno-białych i ok. 10 w pełnym kolorze. Kolorowy plik był przenoszony na stronę internetową biblioteki. Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są tam dostępne do czytania lub wydrukowania.

Promocja

Każdy numer „Pegaza Lubuskiego” miał promocję przygotowaną przez Danutę Zielińską. To ona rozsyłała zaproszenia, dbała o wygląd sali, o nagłośnienie itp. Spotkania autorów z czytelnikami miały charakter otwarty, każdy mógł w nich

uczestniczyć. Odbywały się oczywiście w Bibliotece, najczęściej w sali nr 8 im. Zdzisława Morawskiego, gdzie na ścianie wisi kolekcja karykatur pisarzy gorzowskich autorstwa Zbigniewa Olchowika.

84 spotkania prowadził Ireneusz Krzysztof Szmidt. Zazwyczaj otwierał je gospodarz – dyrektor biblioteki, jego zastępczyni lub przedstawicielka, a okolicznościowe słowo wstępne wygłaszał redaktor naczelny. Następnie zapraszał autorów do przeczytania swojego wiersza lub na krótką rozmowę o prozie: eseju, felietonie, opowiadaniu, fragmencie powieści.

Od czasu do czasu promocja pisma połączona była z promocją niedawno wydanej książki, wtedy rozmowa z jej autorem bywała dłuższa. Irek jednak nie preferował tej formy, bowiem jeden autor był wówczas bardziej wyróżniony niż inni, a on uważał, że napisanie dobrej fraszki jest taką samą sztuką jak napisanie powieści. Natomiast chętnie dopętniał takie spotkania wystawami lub krótkimi koncertami, np. poezji śpiewanej.

Ostatnie cztery numery

84. numer „Pegaza Lubuskiego”, który wyszedł spod ręki Ireneusza Krzysztofa Szmidta, ukazał się w grudniu 2020 roku. Podczas jego promocji nikt nie przypuszczał, że będzie to ostatnie spotkanie z udziałem wieloletniego naczelnego. Niestety, Irek poważnie zachorował i zmarł 4 maja 2021 roku.

Dyrektor WiMBP, współwydawca pisma, zaproponował mi prowadzenie następnych numerów. Wyraziłam zgodę, z góry zastrzegając, że będzie to zastępstwo na krótko. Ażeby nie stracić rytmu ukazywania się pisma, w czerwcu 2021 roku przygotowałam numer podwójny – 85/86, którego część poświęcona była zmarłemu redaktorowi naczelnemu, a druga – jak zwykle – prezentacji nowych utworów. We wrześniu ukazał się numer 87., a 88. w grudniu 2021 roku. Jeszcze przed jego promocją ogłosiłam, że to będzie ostatni numer pod moją redakcją, a na łamach pożegnałam się z autorami i czytelnikami. Podobnie jak wcześniej Irek, to ja prowadziłam promocję ostatnich numerów.

Z pełną świadomością nie zmieniłam formuły pisma, choć byłam głęboko przekonana, że „Pegaz” musi się odnowić. Decyzje w tej sprawie pozostawiłam następcom.

Pracę nad moim pierwszym numerem „Pegaza” rozpoczynałam od zera, bo razem z właścicielem zakończył żywot jego laptop. Nie dysponowałam więc żadnymi materiałami. W tej sytuacji zwróciłam się do wszystkich autorów, którzy wcześniej publikowali w „Pegazie”, z prośbą o przestanie swoich propozycji. Dostałam ich bardzo dużo. Za dużo na nawet podwójny numer pisma. Dla mnie było to pośmiertne zwycięstwo Ireneusza. Czas pokazał, że – mimo obaw redaktora naczelnego wyrażonych w pierwszym numerze – *starczyło nam sił, aktywności, a przede wszystkim tekstów gotowych do druku.*

Wykorzystywałam je w dwóch następnych numerach, a pozostałe przekazałam Agnieszce Moskaluk, nowej redaktor naczelnej.

Z numerem w ciągłej numeracji 89, choć pod własną jedyneką, w marcu 2022 roku ukazał się nowy „Pegaz”. Rozpoczęła się druga era pisma.

Co dał „Pegaz Lubuski”?

O akceptacji pisma przez autorów świadczy obszerna bibliografia opracowana przez Danutę Zielińską i Annę Sokótkę. Przekazując swoje teksty do druku, wszyscy wiedzieli, że nie będzie za nie gratyfikacji finansowej, a jednak chcieli być w „Pegazie”. Nie przypominam sobie, aby ktoś uzależniał prawo do wykorzystania tekstu od honorarium. Ale właśnie dlatego Ireneusz Krzysztof Szmidt starał się w inny sposób nobilitować autorów: podczas promocji numerów, zgłaszając do konkursu o Lubuski Wawrzyn Literacki, przez publikację indywidualnych książek, włączając do antologii lub leksykonów itp. Za książki, które wyszły spod ręki Ireneusza Krzysztofa Szmidta, następujący autorzy otrzymali Lubuski Wawrzyn Literacki, czyli nagrodę za najlepszą książkę literacką opublikowaną w minionym roku: Witold Niedźwiecki, Ludwik Lipnicki, Karol Graczyk, Marek Lobo Wojciechowski i Ireneusz K. Szmidt, nagrody Lubuskiego Wawrzynu za debiut otrzymali: Małgorzata Prusińska, Agnieszka Moroz, Alicja Łukasik, Kalina Moskaluk, a kilka znalazło się wśród nominowanych do Wawrzynu.

Nikt nigdy nie prowadził badań nad recepcją pisma, ale liczna obecność słuchaczy na promocjach jest dowodem akceptacji odbiorców. Z reguły rozchodziły się wszystkie egzemplarze przeznaczone na promocję. Zainteresowani brali je dla siebie i znajomych, gromadzili we własnych bibliotekach.

„Pegaz Lubuski” stał się wizytówką oddziału w Gorzowie Związku Literatów Polskich, a także Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta.

Publikacja w: *Bibliografia zawartości „Pegaza Lubuskiego” za lata 2003-2021*

Dr KRYSTYNA KAMIŃSKA: dziennikarka, wydawczyni, regionalistka. Autorka licznych książek, leksykonów i monografii z dziedziny kultury i sztuki. W latach 1979-1987 dziennikarka „Ziemi Gorzowskiej”. W 1994 roku założyła Agencję Wydawniczą Kamak, czyli późniejsze Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne Arsenał. W latach 1994-2005 wydawała opiniotwórcze pismo „Arsenał Gorzowski”. Wydawała też pismo „Lamus” (2001-2007).

SAMOTNY JAK SENIOR

Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

Rozmowa z prof. AJP Adamem Czabańskim, socjologiem, suicydologiem, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego, członkiem Komisji Ewaluacji Nauki, ekspertem kampanii społecznej „Życie warte jest rozmowy”.



Fot. archiwum prywatne

Panie profesorze, porozmawiajmy o zdrowiu psychicznym... Dużo w tym kontekście mówimy ostatnio o młodziuży – dzięki raportom, które ostatnio są publikowane, czy ze względu na samorzecznicstwo młodych ludzi, którzy mówią głośno o tym, że mierzą się z depresją, że korzystają ze wsparcia psychologicznego i psychiatrycznego. To przestaje być stygma. Natomiast, według mnie, zdecydowanie za mało – być może dlatego, że symptomy nie są takie oczywiste – mówi się o zdrowiu psychicznym i depresji seniorów. To grupa, która bardziej niż pozostałe mierzy się z samotnością, chorobami, uciekającym światem, odchodzeniem najbliższych, lękiem przed śmiercią...

Zgadza się. Mówimy o zjawiskach, które towarzyszą szczególnie osobom starszym, czyli o samotności i osamotnieniu. Rozróżniam te dwa pojęcia, bo samotność to jest coś obiektywnego – człowiek sam prowadzi swoje gospodarstwo domowe...

...ale nie musi być osamotniony, bo ma bliską rodzinę, z którą utrzymuje kontakty, doświadcza bliskości...

Właśnie tak! Natomiast osamotnienie to taka sytuacja, gdzie jest ta rodzina, a senior mimo wszystko ma poczucie braku, wykluczenia. Myśli: nikt mnie nie rozumie; to już nie mój świat; wszyscy moi rówieśnicy albo poumierali, albo powyjeżdżali do Domów Pomocy Społecznej; nie mam tu już żadnych kolegów i koleżanek... Ta świadomość, że jest się najstarszą osobą w środowisku, może być i jest przygnębiająca.

Taki senior nie umie się pozbyć dojmującej myśli: Teraz moja kolej...

No właśnie! To jest dołujące. Dlatego tak ważne jest, by seniorów nie pozostawiać samym sobie, by dbać o międzypokoleniowy kontakt. Zawsze, gdy mam spotkania z licealistami czy ze studentami, dopytuję, czy regularnie kontaktują się ze swoimi dziadkami. To jest kluczowa sprawa. I chodzi nie tylko o to, że młody człowiek daje dziadkowi czy babci trochę radości, nadziei, ale to działa też w drugą stronę. Starszy człowiek dzieli się swoim doświadczeniem, swoją wiedzą, mądrością życiową, takimi doświadczeniami, których ten młody człowiek nie miał szans jeszcze poznać. I tu następuje wymiana, wzajemne ubogacanie się.

A jak to się ma do akceleracji pokoleniowej? Każde pokolenie szybciej się rozwija, więcej wie. Także rozwój technologii osiąga rozmiary, o jakich nie było mowy nawet dekadę temu. Kiedyś – faktycznie – w grupie, osadzie, wsi figura Starszego Rodu miała ogromne znaczenie. To on był tym, który pamięta, który wie, który się zna, który przekazuje swoją wiedzę i doświadczenie. Taka osoba była nośnikiem wiedzy, tradycji i kultury. Dziś to wygląda zupełnie inaczej, wiedza naszych dziadków może się okazywać zupełnie bezużyteczna. Bo po co umieć korzystać z encyklopedii, skoro jest Wikipedia i cała wiedza internetu? Po co uczyć się korzystać z mapy czy kompasu, skoro w każdym smartfonie jest GPS? To dla seniorów musi być przytłaczające...

Też mam wrażenie, że młodym ludziom, a także ludziom z średniego pokolenia wydaje się, że ta wiedza, o której pani wspomina, jest nieprzydatna. Tymczasem nie wszystko da się wygooglować. Mimo że cyberprzestrzeń co roku się podwaja i pojawiają się w niej kolejne terabajty informacji, to jednak nie zastąpią one doświadczeń osobistych i jednostkowych przeżyć. Starsi ludzie dysponują unikatowymi doświadczeniami, czasem sięgającymi jeszcze czasu II wojny światowej.

...i to doświadczenie znów staje się ważne, choćby w kontekście wojny w Ukrainie czy na Bliskim Wschodzie? Czyli warto zapytać dziadka, jak rozpalic ognisko i budować ziemiankę, a babcię – jakie „dary lasu” pomogą nam przetrwać czas głodu?

Otóż to! Wojna, katastrofa klimatyczna, zmiany w świecie sprawiają, że wiedza dotycząca orientacji i radzenia sobie w trudnych warunkach może okazać się bezcenna. Być może będzie trzeba do niej wrócić, żeby przetrwać.

I po to jest senior i jego ekspercka wiedza?

No właśnie! To może dodać mu sił i skrzydeł. Okinawa w Japonii to jedna z tzw. błękitnych stref, czyli miejsc, gdzie jest wielu stulatków. Prowadzi się tam badania nad przyczynami długowieczności. Proszę sobie wyobrazić, że to jedno z miejsc, gdzie zachował się system, o którym pani wspomniała – gdzie senior jest głową rodu, daje społeczności swoją mądrość i doświadczenie. Kiedy traktujemy starszego człowieka jako mędrca, to działa na niego mobilizująco. Następuje proces uważnienia społecznego, dzięki któremu senior czuje, że cały czas dysponuje wiedzą przydatną wspólnocie, jest cenionym jej członkiem. Podobnie jest na Sardynii czy na Kaukazie.

Do tego dochodzi ciągła aktywność fizyczna, zdrowa dieta, praca...

To jest bardzo ważne dla psychiki starszego człowieka. Uważam, że także u nas trzeba się bardziej skupić na tym zagadnieniu.

Krótko mówiąc, senior musi mieć poczucie sprawczości, by mieć chęć do życia i aktywności. Potrzebuje też uwagi ludzi młodszych...

I to jest chyba najtrudniejsze – na chwilę zatrzymać się i mieć w sobie tę cierpliwość, żeby wystuchać starszego człowieka, który mówi trochę wolniej, być może

wraca do pewnych wątków. No, ale na tym to właśnie ma polegać, żebyśmy wykazywali się wzajemną empatią.

A co pan powie na taki pomysł, żeby zachęcać seniorów, by spisywali swoje wspomnienia? One nie muszą być piękne literacko, bo ich wartość tkwi w rodzinnym dziedzictwie.

To jest świetny pomysł! Niewysłuchanie starszych ludzi, którzy potem umierają w osamotnieniu, to wielkie marnotrawstwo wiedzy, doświadczenia, idei. W latach 2014-2015 zbierałem materiały do książki dotyczącej II wojny światowej w zachodniej części Poznania, przejścia frontu, ucieczki Niemców, wejścia Armii Czerwonej. To były niezwykle interesujące wspomnienia, natomiast wielu z moich rozmówców zauważało, że jestem pierwszym, który się do nich zgłosił, że nikt z rodziny nigdy nie interesował się ich przeżyciami, nie pytał o wspomnienia. A niektórzy wręcz mówili: „A tam, dziadek, to było dawno”. Trzeba tych ludzi wysłuchiwać z uwagą, bo – jak już wspomniałem – można z tego gąszczu informacji wyłapać rzeczy, które są ponadczasowe. Póki żyją świadkowie historii, warto korzystać z ich wiedzy, mądrości, pamięci. Ta inicjatywa, żeby seniorzy zapisywali swoje wspomnienia, jest super! Ich zapiski mogą stać się inspiracją dla scenarzysty na spektakle, filmy, reportaże...

A ta książka, o której pan wspomniął?

Wspomnienia mieszkańców Junikowa z wydarzeń ze stycznia i lutego 1945 roku. Analiza socjologiczna. To unikatowe materiały. Dziesięć lat temu przepytalem 42 świadków historii. To był ostatni moment – większość z tych osób już zmarła. Udało się uchwycić pewne ulotne historie. Cieszę się, że udało mi się je zachować, ale jednocześnie wyrzucam sobie, że nie zrobiłem tego jeszcze dziesięć lat wcześniej, bo tych świadków byłoby więcej.

AGNIESZKA KOPACZYŃSKA-MOSKALUK: dziennikarka, poetka, edukatorka, pomysłodawczyni i organizatorka Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego im. Kazimierza Furmana FurmanKa. Wydała trzy książki poetyckie: *Ze słońcem w kieszeni* (1992), *Codziennie* (1997) i *Kochany* (2009) oraz książkę kulturalno-kulinarną *Landsberg/Gorzów – miejsce pamięci* (2015). Od 2018 roku pracuje z dziećmi, czego efektem jest 5 książek z bajkami, scenariusze do przedstawień oraz słuchowiska radiowe. Od 2021 roku prezeska gorzowskiego oddziału ZLP.

Dr hab. ADAM CZABAŃSKI: socjolog, suicydolog, profesor Akademii im. Jakuba z Paładyża w Gorzowie Wielkopolskim, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego, członek Komisji Ewaluacji Nauki. Jest autorem około 190. publikacji naukowych, w tym czternastu monografii. Członek Zespołu roboczego ds. prewencji samobójstw i depresji przy Radzie do spraw Zdrowia Publicznego Ministerstwa Zdrowia. Ogólnopolski koordynator wolontariatu „Pomoc osobom w kryzysie samobójczym”. Ekspert kampanii społecznej „Życie warte jest rozmowy” i Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie.

BLASKI I CIENIE PEWNEGO SZPITALA

Beata Igielska

Od Obrwalde do Obrzyc 1904-2024. Historie prawdziwe to druga książka Katarzyny Sztuby-Fraćkowiak. O poczytności najlepiej świadczy fakt, że pierwszy nakład rozszedł się jak świeże bułeczki i jest już niemal wyczerpany.

Fragmety książki mogą być niektórym czytelnikom znane, gdyż autorka publikowała je wcześniej w lokalnej prasie i w internecie. Warto wspomnieć, że ukazały się one również w niemieckim czasopiśmie „Heimatgruß Meseritz”. Teraz mamy wreszcie książkę, którą czyta się z wielkim zainteresowaniem.

Caość podzielona jest na kilka części, w których Katarzyna Sztuba-Fraćkowiak przedstawia powstanie i burzliwą historię szpitala psychiatrycznego w dzisiejszych Obrzycach, codzienne życie w placówce, sylwetki personelu, zarówno lekarzy, pielęgniarek, jak i innych pracowników, losy pacjentów, wspomnienia...

Czarną kartą w dziejach szpitala okazały się czasy II wojny światowej, gdy dokonywano w nim ludobójstwa. Pod płaszczykiem pseudoideologii dotyczącej eutanazji mordowano ludzi niepełnosprawnych, starych, zniedołężnionych, dzieci... Nie byli to jedynie pacjenci tego szpitala. Ofiary przywożono transportami z różnych miejsc – w ten sposób „oczyszczano” aryjską rasę.

Rozdziały poświęcone tej tematyce są wstrząsające, tym bardziej gdy poznaje się konkretne nazwiska i historie ludzi.

Autorka skupia się na lekarzach i pielęgniarkach, którzy kiedyś leczyli z poświęceniem i traktowali swoją pracę jak misję, by w ciągu kilku lat stać się katami i postaciami śmierci. Tylko nieliczni mieli wątpliwości i opory moralne. Większość uległa nazistowskiej propagandzie i wykonywała polecenia przetożonych. Nie wszyscy po wojnie ponieśli za to karę. Wciąż trudno zrozumieć, jak to możliwe, że wykształceni i dobrzy, zwykli ludzie stali się zbrodniarzami.

Osobne miejsce zajmują opowieści poświęcone pacjentom. Dzięki nim ludzie ci nie są anonimowi, a autorce udało się ocalić pamięć o nich. Właśnie pokazywanie Wielkiej Historii przez pryzmat jednostek jest mocną stroną tej książki. Gdy czytamy o ludziach, którzy – jak my – żyli, kochali, cierpieli, mieli marzenia... – doświadczamy większych emocji, niż gdybyśmy poznawali suche fakty i liczby. Nawet najbardziej szczegółowe statystyki nie robią bowiem takiego wrażenia jak prawdziwa śmierć, choćby jednego człowieka...

Książka Katarzyny Sztuby-Fraćkowiak opowiada również o pięknych kartach w historii szpitala. Już w pierwszych latach swojego istnienia i w dwudziestoleciu międzywojennym była to wzorcowa, nowoczesna placówka o europejskich standardach.

Nic dziwnego, że pacjenci nie tylko nie wstydzili się swojego pobytu w Obrwalde, ale szcycili się nim, wysyłając pocztówki do rodziny i znajomych, gdyż

czuli się tam jak w sanatorium. W jasnych, dużych salach przebywali pacjenci, którymi opiekowano się fachowo, ale i z troską oraz oddaniem. Stosowano różne terapie, leczono nie tylko farmakologicznie, a lekarze mogli poszczycić się bardzo wysokimi kwalifikacjami, naukowymi publikacjami i międzynarodową sławą. Szpital wyposażony był w łazienki z wannami, prysznicami, toaletami, bidetami. Wokół budynków znajdował się duży park, było bardzo dużo zadbanej zieleni. Placówka w dużej mierze była samowystarczalna – uprawiano warzywa, owoce, hodowano drób i trzodę chlewną, które wykorzystywano w kuchni. Oprócz pacjentów psychiatrycznych, w kompleksie przebywały osoby starsze. Było tam też sanatorium dla dzieci, o które dbano ze szczególną troską.

Lata powojenne to jeszcze inny rozdział w życiu i funkcjonowaniu szpitala. Czasy peerelu na pewno mu się nie przystużyły, obecnie jednak szpital jest wyremontowany i wciąż się rozwija, o czym również jest mowa w książce.

Autorce należą się wielkie podziękowania i gratulacje za napisanie tej książki oraz za tytaniczną pracę przy zbieraniu materiałów. Docieranie do wielu źródeł, zwłaszcza znajdujących się na terenie Niemiec, było bardzo trudne, ale – jak widać – przyniosło owoc w postaci niezwyklej publikacji, jedynej takiej w Polsce.

Całość napisana jest ze znanstwem tematu, dbałością o szczegóły, ale i o styl oraz język. Autorce udało się połączyć głęboką problematykę z prostotą przekazu – a to bardzo trudne.

Ubarwieniem treści są unikatowe zdjęcia z różnych archiwów. Patrząc na nie, nie sposób nie zastanowić się nad losami zatrzymanych w kadrach miejsc i ludzi. To również sprawia, że myśli się o nich długo po odłożeniu książki na półkę.

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowzięci. Od 2021 wiceprezeska gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich i zastępczyni redaktor naczelnej „Pegaza Lubuskiego”. Od tego roku jest moderatorką warsztatów literackich Padok Pegaza organizowanych przez ZLP o/Gorzów w Bibliotece Herberta.

POEZJA W SERCU REGIONU

Anna Dominiak



Zorganizowany z inicjatywy dyrektora Biblioteki Publicznej dr. Dawida Kotlarka festiwal Liryczny Świebodzin, który ożywił nasze miasto między 21 a 25 października, pokazał, że poezja może przenikać każdy aspekt życia – od słowa pisanego, przez nowoczesne technologie, po pełną ekspresji sztukę plastyczną.

Tegoroczna edycja wpisana była w Rok Czesława Miłosza i inspirowana jego twórczością. Jednym z kluczowych punktów programu był ogólnopolski konkurs poetycki, który zmobilizował blisko stu autorów z całego kraju. Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 25 października podczas finałowej gali w Fabryce

Kreatywności w Bibliotece Publicznej w Świebodziu.

Festiwal zainauguowały zajęcia dla dzieci pod hasłem „Programowanie poezji”, które przyciągnęły najmłodszych adeptów literatury zainteresowanych tym, jak świat technologii i język kodu może łączyć się z poetycką ekspresją. Kolejny dzień to spotkanie Anny Dominiak z awangardowym rzeźbiarzem Jerzym Pachem. „Dialog poezji z rzeźbą” – pod takim hasłem toczyła się rozmowa, podczas której badano punkty styeczne między słowem a materią w nawiązaniu do wiersza Tomasza Jastruna *Przebudzenie bez ciebie* i rzeźby Jerzego Pacha *Czerwona dama*. Artysta ponadto wzbogacił spotkanie o ekspozycję swoich prac, które uatrakcyjniły festiwalową aranżację.



W kolejnych dniach Liryczny Świebodzin pokazał pełne bogactwo lubuskiego życia literackiego. W środę publiczność miała okazję poznać twórców związanych z regionem podczas rozmowy w ramach kontynuacji projektu „Lubuskie spotkania w pół drogi”. W nastrojowej przestrzeni Fabryki Kreatywności literaci – Beata Patrycja Klary-Stachowiak, Marek Lobo Wojciechowski, Marek Stachowiak, Katarzyna Rabej, Agnieszka Ginko i Natalia Haczek – dzielili się swoimi poetyckimi wizjami i opowiadali o wyzwaniach twórczych.

Czwartek natomiast przyniósł żywiotywy slam poetycki – sceniczną, pełną niespodzianek rywalizację, w której różnorodność osobowości i talentów stworzyła niezapomnianą atmosferę. Był to wieczór integracji pokazujący, że poezja łączy pokolenia i może stać się dialogiem odmiennych wrażliwości.

Kulminacją festiwalu była pełna ciekawych momentów piątkowa gala. Przy okazji rozstrzygnięcia konkursu oraz wręczenia nagród, uczestnicy wieczoru wysłuchali wykładu dr. Janusza Łastowieckiego, który w swobodnej formie opowiedział o „mniej nobliwej” twarzy naszego noblisty, przybliżając słuchaczom ludzką i nieformalną stronę Miłosza z podkreśleniem osobistej więzi poety z życiem. Wieczór uświetnił muzycznie koncert Agaty Hańdziuk, której poezja śpiewana przeplatała wydarzenia gali. Zamknęto ją spotkanie Anny Dominiak z dr. Mirosławą Szott – współredaktorką antologii poezji lubuskiej lat 2007-2022 pt. *Znów wystawimy twarz do słońca*. Spotkanie to podkreśliło znaczenie lokalnych talentów i było symbolicznym podsumowaniem rozmów o literaturze naszego regionu. Liryczny Świebodzin, poszerzając przestrzeń dla poezji współczesnej i nowych form wyrazu udowodnił, że małe miasto może tętnić literackim życiem i przyciągnąć uwagę miłośników poezji z całej Polski.



ANNA DOMINIAK: polonistka, recenzentka poezji i prozy, autorka wierszy. Publikuje na łamach ogólnopolskiej i lokalnej prasy literackiej. Pracuje w Liceum Ogólnokształcącym w Świebodzinie.

Protokół

z posiedzenia jury IV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Grossa zorganizowanego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim.

Jury obradowało 14 września 2024 r. w siedzibie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim w składzie:
Danuta Szulczyńska-Miłoś – przewodnicząca jury oraz członkowie: Jadwiga Gross i Hanna Bilińska-Stecyszyn.

Czwarta edycja konkursu spotkała się tradycyjnie z dużym zainteresowaniem piszących. Jury otrzymało do oceny 97 zestawów fraszek (dwa zestawy nie spełniały wymogów: jeden formalnych, jeden gatunkowych) nadesłanych przez 76 autorów.

Po dogłębnej analizie nadesłanych tekstów zdecydowano przyznać cztery nagrody autorom prac oznaczonych godłami:

I nagrodę w wysokości 1000 zł autorowi oznaczonemu godłem Samnasam

II nagrodę w wysokości 700 zł autorowi oznaczonemu godłem Woolsack

III nagrodę w wysokości 500 zł autorowi oznaczonemu godłem Morwa

Nagrodę specjalną w wysokości 200 zł autorowi oznaczonemu godłem
Żałoba po pegeerze.

Po otwarciu kopert z godłami stwierdzono, że nagrody otrzymali:

I nagrodę – Zbigniew Witostawski z Gorzowa Wielkopolskiego

II nagrodę – Andrzej Lewko z Białegostoku

III nagrodę – Henryk Liszkiewicz z Piły

Nagrodę specjalną – Zbigniew Pikuła z Majkovic.

IV edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Grossa kolejny raz spotkała się z zainteresowaniem twórców z całego kraju. Na konkurs, którego celem jest popularyzowanie twórczości literackiej patrona – gorzowskiego aforysty, fraszkopisarza, zastrżonego działacza kultury i członka Stowarzyszenia Autorów ZAiKS – wpłynęły nie tylko fraszki, ale i limeryki, aforyzmy oraz satyryczne wiersze. Kierując się wymogami zawartymi w regulaminie konkursu, wyselekcjonowano te formy liryczne, które spełniają kryteria gatunku, jakim jest fraszka.

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród odbędzie się 15 listopada 2024 roku w siedzibie organizatora, czyli w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim.

Fraszkopisarze nadesłali prace o różnorodnej tematyce, niektóre z nich pogrupowane były w zestawy dotyczące konkretnych dziedzin życia czy problemów społecznych, wykazując się jednocześnie sprawnym piórem, umiejętnym obserwowaniem rzeczywistości i wyciąganiem nieszablonowych wniosków. Na uwagę zasługiwały również te utwory, w których autor bawił się słowem, rymem, a nawet... staropolszczyzną.

Nie zabrakło inspiracji klasykami, podobnie jak utworów, które poruszały tematy wielokrotnie już omawiane. Choć stanowią one niewyczerpane źródło humoru i refleksji, najbardziej interesujące okazały się te, w których problematyka była nieoczywista i mało znana. Pewien kłopot stanowiły te zbiory, w których np. siedem z ośmiu utworów kwalifikowało się do przyznania wyróżnienia, ale jeden przekreślał wartość pozostałych, odbiegając nieprawdopodobną formą czy rażącymi błędami.

Szczególną uwagę zwrócono więc na te zestawy, których autorzy konsekwentnie trzymali się wyznaczonych ram, wykazując jednocześnie językowy talent, dowodząc poczucia humoru i filozoficznego dystansu do świata.

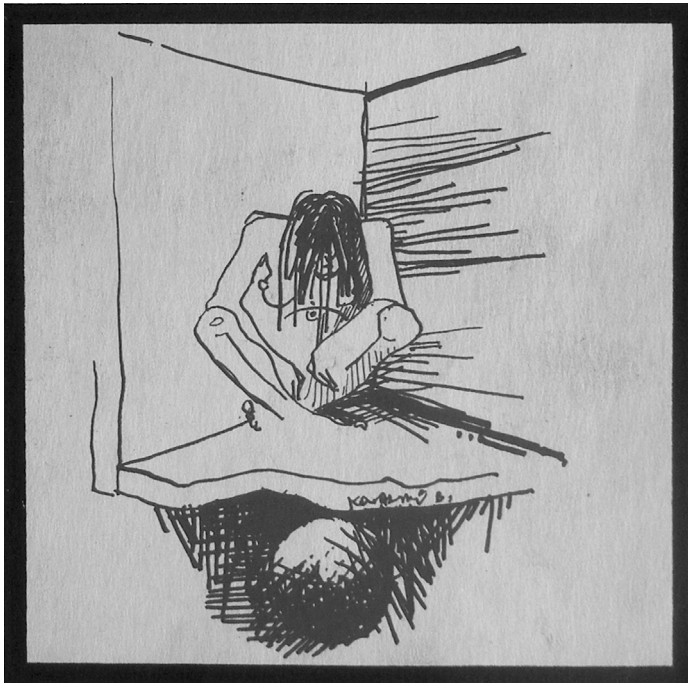
Jury – jak co roku – postanowiło opublikować najciekawsze teksty w wydawnictwie pokonkursowym pt. *Grossować, czyli fraszkami żonglować*.

Jury:

Danuta Szulczyńska-Miłosz

Jadwiga Gross

Hanna Bilińska-Stecyszyn



WIĘCEJ WIARY W CZŁOWIEKA?

Helka Cąkała

26 września 1999, poniedziałek

Lubię takie dni, kiedy nic nie robię poza sprzątaniami, czytaniem i rozmyślaniami. A wszystko robię po kawałku, jakby od niechcenia. Ot, jak dziś. Wyszedłam na spacer. Idę zamyślona i z tego zamyślenia wyrывa mnie głos:

– Ma pani złotówkę? Bo mi do recepty zabrakowało. Pomyślałam sobie: Gdyby ci na piwo „zabrakowało”, co – sądząc po wyglądzie – jest bardziej prawdopodobne, to też bym dała.

– Chyba mam, poszukam. – I grzebię w niemal pustym portfelu. Nie ma. Teraz ja pytam:

– Ma pani złotówkę? To dam dwa złote. – (Jak złotówkę to złotówkę, a co). Domagam się reszty.

– Nie mam nic.

– No to jak pani zabrakło, jeśli pani nic nie ma? – i nie czekając na odpowiedź, odliczam – pięćdziesiąt groszy, dwadzieścia, dziesięć, pięć, dwa, dwa, jeden. Razem dziewięćdziesiąt groszy – i sięgam do kieszeni – o, jest jeszcze dziesięć. Jest złotówka. Proszę.

Wzięła, poszła. I to wcale nie w kierunku apteki. Chciałam nawet zawołać, że tu jest apteka, koło niej stałyśmy, ale powstrzymałam się. Przecież jej lekarstwo kupuje się w Barze Wielkopolskim i to nawet bez recepty. Mnie zostały cztery złote do pierwszego. Jeśli mi sąsiadka odda dług, to jakoś to będzie, ale jeśli nie odda? Nie wiem, co zrobić.

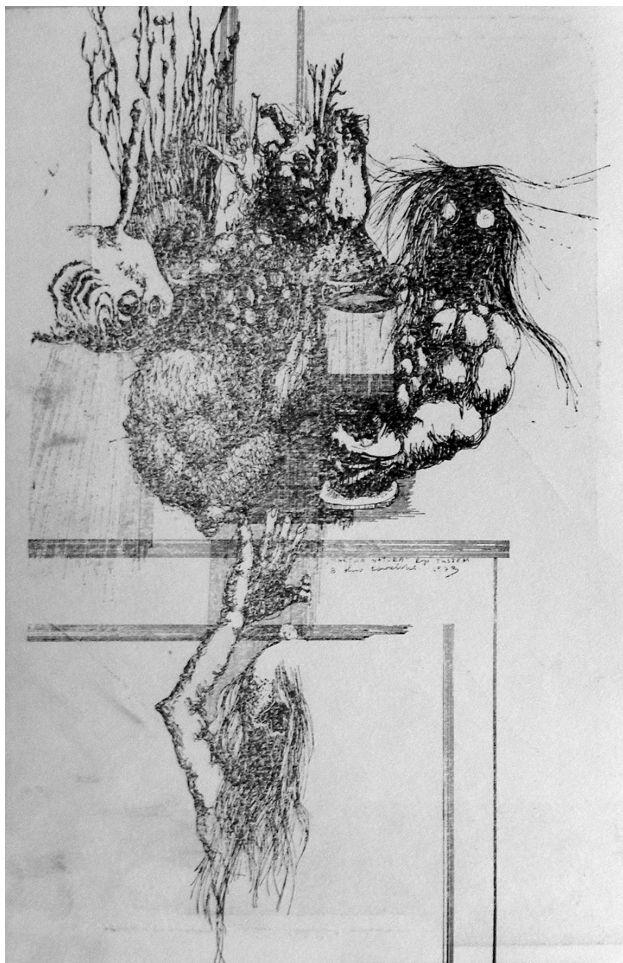
Więcej wiary w człowieka! Oddała. Wprawdzie nie po moim powrocie ze spaceru, ale później. Już mogę szastać, a raczej raz szastnąć, bo niewiele tego jest. Na szczęście mam męża, już nieraz pomógł mi wyleźć z dołka finansowego, to i teraz wesprze.

26 października 1999, wtorek

Tak sobie myślę, myślę. Różne myśli przychodzą mi do głowy.

Stał sobie dom. Obok były jakieś szopki, komórki i niewielki ogródek. Tego wszystkiego pilnował pies. Miał miskę na wodę i jadło, miał budę, do której był przywiązany solidnym łańcuchem. Do ludzi – chociaż bez łańcucha – na pewno też był przywiązany równie mocno, jak do budy. W pobliżu budowano most i nową drogę. Dom trzeba było wyburzyć. Mieszkańcom dano nowe mieszkanie na odległym osiedlu w nowoczesnym bloku, psu nie dano. Ludzie nie zabrali go ze sobą. Na pewno ucieszyli się, że opuszczają Zakanale. Pies nie był potrzebny, czego by pilnował? Windy? Może też

nie pasował do nowego mieszkania na osiedlu? To był przecież zwykły kundel. Ktoś go uwolnił z tańcucha, biegał tu i tam. Pilnował opuszczonego domostwa i czekał. Ktoś z pobliskich dzieciak dał mu coś do zjedzenia, wody napił się z kanału i czekał. Życie psa składa się przede wszystkim z czekania. Czeką na spacer, czeka na pana, czeka na jedzenie, czeka, czeka... Ten czekał na swoich gospodarzy. Daremnie. Patrzył na ludzi z daleka, widać było, że chce podejść i boi się. Wybrał sobie trzech mężczyzn i zdecydował się pójść za nimi. Na moście potrafił go samochód, wrócił. Wciąż czeka. Piękny, wierny, oddany człowiekowi. Niczyj, porzucony, zdradzony. Człowieku, pies by ci tego nie zrobił.



KWARTAŁ U HERBERTA

Gabriela Rodak

Varia

7 września odbyła się trzynasta odsłona Narodowego Czytania, podczas której uczniowie II LO oraz uczestnicy czytali *Kordiana* Juliusza Słowackiego. Prelekcję o poecie przedstawiła Aneta Gizińska-Hwozdyk, ze słynną improwizacją wystąpił aktor Michał Anioł, a muzycznie wydarzenie uświetniła skrzypaczka Daria Krzysztoń-Baran. Wydarzenie zakończyło się rozdaniem dyplomów z pieczętką Pary Prezydenckiej.

24 września we współpracy z klubem Na Zapiecku zorganizowano spotkanie z dyrektorem gorzowskiej biblioteki Sławomirem Szenwaldem ph. „Badania czytelnictwa Biblioteki Narodowej i Biblioteki Herberta”. Dyrektor przedstawił dane dotyczące stanu czytelnictwa Biblioteki oraz wytłumaczył zebranym procesy umożliwiające sprawne funkcjonowanie instytucji.

26 września promowano trzeci w tym roku numer czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” (3/98). Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk oraz Beata Igielska omówiły zawartość kwartalnika, którego tematem przewodnim były drogowaskazy. Dalsza część wydarzenia obejmowała spotkanie autorskie dr Mirosławy Szott połączone z prezentacją książki *Milczenia słuchajcie. Wiersze zebrane* Ireny Dowgielewicz.

27 września podczas spotkania z cyklu „Cafe Wenecja” Krystyna Kamińska i Magdalena Matuszewska opowiadały o gorzowskiej bohemie z lat 60., 70. i 80. spotykającej się przy „Stoliku nr 1” w EMPIK-u. O oprawę muzyczną zadbał saksofonista Andrzej Jóźwiak.

11 października w Książnicy Herberta było kosmicznie, a to za sprawą Nocy Bibliotek, której tegoroczna edycja nosiła nazwę „NOC BIBLIOTEK – MOC BIBLIOTEK”. Zorganizowano liczne atrakcje, w tym mobilne planetarium i pogadanki o astronomii z Gorzowskim Towarzystwem Miłośników Astronomii GAMMA, czytanie dzieł Lema oraz nocne zwiedzanie Biblioteki.

25 października w ramach VII Gorzowskiej Herbertiady pt. „Zbigniew Herbert lokalnie” uczestnicy mogli wziąć udział w spotkaniu z Beatą Lechnio, chrześnicą Herberta promującą swoją książkę *Mój wujek Zbyszek*, wysłuchać wykładu prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak na temat twórczości Herberta pt. „Po stronie Antajosa: związek z ziemią w twórczości Zbigniewa Herberta” oraz uczestniczyć w koncercie Skubasa, którego repertuar zainspirowany był twórczością Herberta. Projekt został dofinansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



Foto: WIMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Spotkania autorskie

10 września gorzowską Książnicę odwiedził krytyk literacki Krzysztof Szymoniak. Podczas spotkania współorganizowanego przez klub Na Zapiecku omówiono twórczość i przybliżono postać Melchiora Wańkowicza w 50. rocznicę jego śmierci.

23 września odbyła się promocja książki autorstwa dr. Grzegorza Urbanka pt. *Bastion niemieczny na nowym pograniczu. Powiat międzyrzecki w latach 1918-1939*. Wydarzenie moderowała prof. AJP dr Małgorzata Czabańska-Rosada.

30 września Zofia Mąkosa w Bibliotece Herberta zaprezentowała swoją najnowszą publikację pt. *W świetle latarni*. Moderatorką spotkania była Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk.

10 października podczas spotkania autorskiego Krystyna Woźniak dzieliła się swoim tomikiem *Niebo pękało sierpniem*. O oprawę muzyczną zadbali Marzena Szumlańska-Śron (śpiew), Stanisław Dobrzański (akordeon) oraz Jacek Kostyszak (gitara).

23 października gościem gorzowskiej Biblioteki był Jerzy Fedorowicz. Autor promował książki *Absolwenci. Rocznik '69* i *Lodołamacz Fedor*. Spotkanie prowadziła Hanna Kaup, a dofinansowane zostało ono ze środków Instytutu Książki pochodzących z dotacji celowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wystawy

5 września otwarto wystawę „Kobieta sukcesu” współtworzoną przez Adę Głodowską, Olenę Musat oraz Magdalenę Szczepańczyk. Intencją autorek było uświadomienie kobietom, jak istotne jest dostrzeganie swojego potencjału i realizowanie się.

6 września odbył się wernisaż wystawy fotograficznej pt. „Wędruj z nami” autorstwa członków PTTK Stilon i PTTK Ziemia Gorzowska. 11 września z kolei Prezes PTTK Ziemi Gorzowskiej Zbigniew Rudziński wygłosił wykład, który otworzył wystawę „Turystyczny klimat lat 80. i 90. w regionie gorzowskim”.

Foto: WiMIBP w Gorzowie Wielkopolskim



13 września w Galerii Pod Kopułą otwarto ekspozycję malarstwa Patryka Bosco pt. „Błąd poznawczy”. Obrazy odzwierciedlały wizję artysty, nakierowaną na fuzję rzeczywistości i iluzji.

4 października Urszula Juzyszyn-Prusak zaprezentowała swoją wystawę malarstwa pt. „Ulotność przechwycona”. Ekspozowane prace wyróżniała różnorodna tematyka oraz barwna wyrazistość.

18 października otwarto wystawę Uniwersytetu Trzeciego Wieku i młodzieży z Młodzieżowego Domu Kultury w Gorzowie Wielkopolskim pt. „Salon odrzuconych”.

Organizatorem wystawy była grupa fotograficzna FOTO-CZAR. Autorzy pracowali pod kierunkiem Aleksandry Czarnieckiej. Muzycznie wernisaż uświetnili Lech Serpina i Stanisław Dobrzański.

Nowa Marchia

5 września w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie” Remigiusz Grochowiak oraz Paweł Kamyszek wygłosili wykład pt. „Wokół dziejów komunikacji miejskiej w Gorzowie Wielkopolskim, czyli czego nie ma w najnowszej monografii...”. Podczas prelekcji promowano również szesnasty numer Zeszytów Naukowych *Nowa Marchia – Prowincja Zapomniana – Ziemia Lubuska – Wspólne Korzenie*.

8 października Katarzyna Sztuba-Fraćkowiak przedstawiła historię Zakładu dla Obłąkanych w Obrawalce podczas promocji jej najnowszej publikacji *Od Obrawalde do Obrzyc 1904-2024. Historie prawdziwe*. Wydarzenie moderował dr Grzegorz Urbaneek.

Ameryka w Twojej Bibliotece

15 października młodzież licealna wzięła udział w warsztatach prowadzonych przez Dorotę Jabłońską. Uczniowie zostali zaproszeni do dyskusji oraz wykonania plakatów o tematyce praw człowieka. Warsztaty zostały sfinansowane ze środków Departamentu Stanu USA w ramach programu „Ameryka w twojej bibliotece”.

7 listopada gościem Biblioteki Herberta był Bumi Phillips, który w ramach prelekcji rozmawiał z młodzieżą licealną o problematyce rasizmu, nieświadomych uprzedzeń, różnorodności kulturowej, stereotypów i uprzedzeń. Spotkania odbyły się w ramach programu Ameryka w Twojej Bibliotece i zostały dofinansowane ze środków Departamentu Stanu USA.

W dniach 18-19 listopada Agnieszka Caban przeprowadziła warsztaty o tematyce praw człowieka dla młodzieży licealnej. Podczas zajęć odbyła się rozgrywka Democracy Cake, zachęcająca młodzież do dyskusji na temat demokracji. Warsztaty odbyły się w ramach programu Ameryka w Twojej Bibliotece i zostały dofinansowane ze środków Departamentu Stanu USA.

Konferencje

24 października w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta odbyło się polsko-niemieckie seminarium „Gorzów i Landsberg. 230 lat od pobytu Friedricha Schleiermache-ra w Gorzowie Wielkopolskim” w ramach projektu współfinansowanego przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej. Prof. dr Jörg Dierken wygłosił referat na temat historii, idei i celu działania Towarzystwa im. Friedricha Schleiermache-ra. Dr. Tobias Kirchoff przedstawił biografię F. Schleiermache-ra. Prof. dr hab. Henryk Machoń analizował teksty kazań landsberskich F. Schleiermache-ra w kontekście jego twórczości. Ks. dr Tadeusz Kuźmicki promował publikację *Kazania landsberskie* Friedricha Schleiermache-ra. Piotr de Bończa Bukowski również zwrócił uwagę na biografię F. Schleiermache-ra. Dyskusje germanistów, teologów i filologów wzbogaciły celebrację 230. rocznicy pobytu Friedricha Schleiermache-ra w Gorzowie Wielkopolskim oraz pogłębiły pole badawcze o nowe, interesujące tematy.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

OD REDAKCJI	
Agnieszka Moskaluk: OLSNIENIA	1
WIERSZE NA OTWARCIE	
Joanna Ziemińska-Kurek: OLSNIENIE	2
POWIEŚĆ (FRAGMENT)	
Hanna Bilińska-Stecyszyn: OLSNIENIA	4
POEZJA	
Katarzyna Maciantowicz: oczekiwanie	10
*** [„na ...”]	10
obłąd	10
OPOWIADANIE	
Danuta Szulczyńska-Mitosz: SŁOWO	11
MINIATURA	
Ryszard Jasiński: ZDERZENIE PRZY STUDNI	17
SATYRA	
Jacek Lauda: W PARKU	19
FELIETON	
Jerzy Hajduga: OBRAZY Z POWODZI	20
POEZJA	
Monika Mitosz: Brzytwę nie ma	21
Przemijanie	21
ESEJ	
Jerzy Alski: PROBLEM ZAGINIONEGO ORYGINAŁU W NIEZNANYM JĘZYKU	22
MINIATURA	
Zbigniew Witostawski: LEMNISKATA	28
POWIEŚĆ (FRAGMENT)	
Maciej J. Dudziak: CZAS WIELKIEGO SEZONU	30
POEZJA	
Łucja Fice: DZIEŃ I NOC	36
OPOWIADANIE	
Aneta Gizińska-Hwozdyk: CZARNA PLAMA	37
POEZJA	
Aneta Długotęcka: najgorsza choroba świata	44
m...	44
MŁODZI PISZĄ	
Hanna Sikorska: KANAREK	45
Tobiasz Cichoń: UŻYTKOWNIK, DO KTÓREGO DZWONISZ, CZERPIE RADOŚĆ Z WIOSNY...	45
SATYRA	
Ferdynand Głodzik: OLSNIENIA	46
XX-LECIE GORZOWSKIEGO ODDZIAŁU ZLP	
Krystyna Kamińska: O „PEGAZIE LUBUSKIM” OPowieść BARDZO OSOBISTA	47
ROZMOWA PEGAZA	
Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk: SAMOTNY JAK SENIOR	54
RECENZJA	
Beata Igielska: BLASKI I CIENIE PEWNEGO SZPITALA	57
FESTIWAL LIRYCZNY ŚWIEBODZIN	
Anna Dominiak: POEZJA W SERCU REGIONU	59
IV OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI IM. JANA GROSSA	
Protokół z posiedzenia jury IV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Grossa zorganizowanego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim	61
KARTKA Z PAMIĘTNIKA	
Helka Cąkała: WIĘCEJ WIARY W CZŁOWIEKA?	63
KWARTAŁ U HERBERTA	
Gabriela Rodak: KWARTAŁ U HERBERTA	65



ZLP

Wojewódzka i Miejska Biblioteka
Publiczna im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim
oraz
Związek Literatów Polskich
Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

zapraszają do nadsyłania
swoich tekstów
do **1. numeru**
w 2025 roku
czasopisma literackiego

PEGAZ LUBUSKI

TERMIN NADSYŁANIA PRAC:
DO 31 STYCZNIA 2025

TEMAT PRZEWODNI: OKAZJE





PADOK PEGAZA 2025

warsztaty literackie ZLP
z BEATĄ IGIELSKĄ

10 STYCZNIA 2025

17:00

WIMBP W GORZOWIE
UL. SIKORSKIEGO 107
SALA NR 8

Pisziesz? Chcesz popracować nad
swoim warsztatem?

Te zajęcia są dla Ciebie!

Przygotuj teksty (koniecznie także
na pendrive!)

oraz wyostrzone pióro, bo czeka
nas poetycki turniej.

Podczas warsztatów będziemy
czytać przygotowane przez
uczestników prace,
wspólnie poddawać je analizie i
dobrze się bawić.

Zapraszamy!